ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 5(30) • Maj 2008 • Cena 2,00 zł

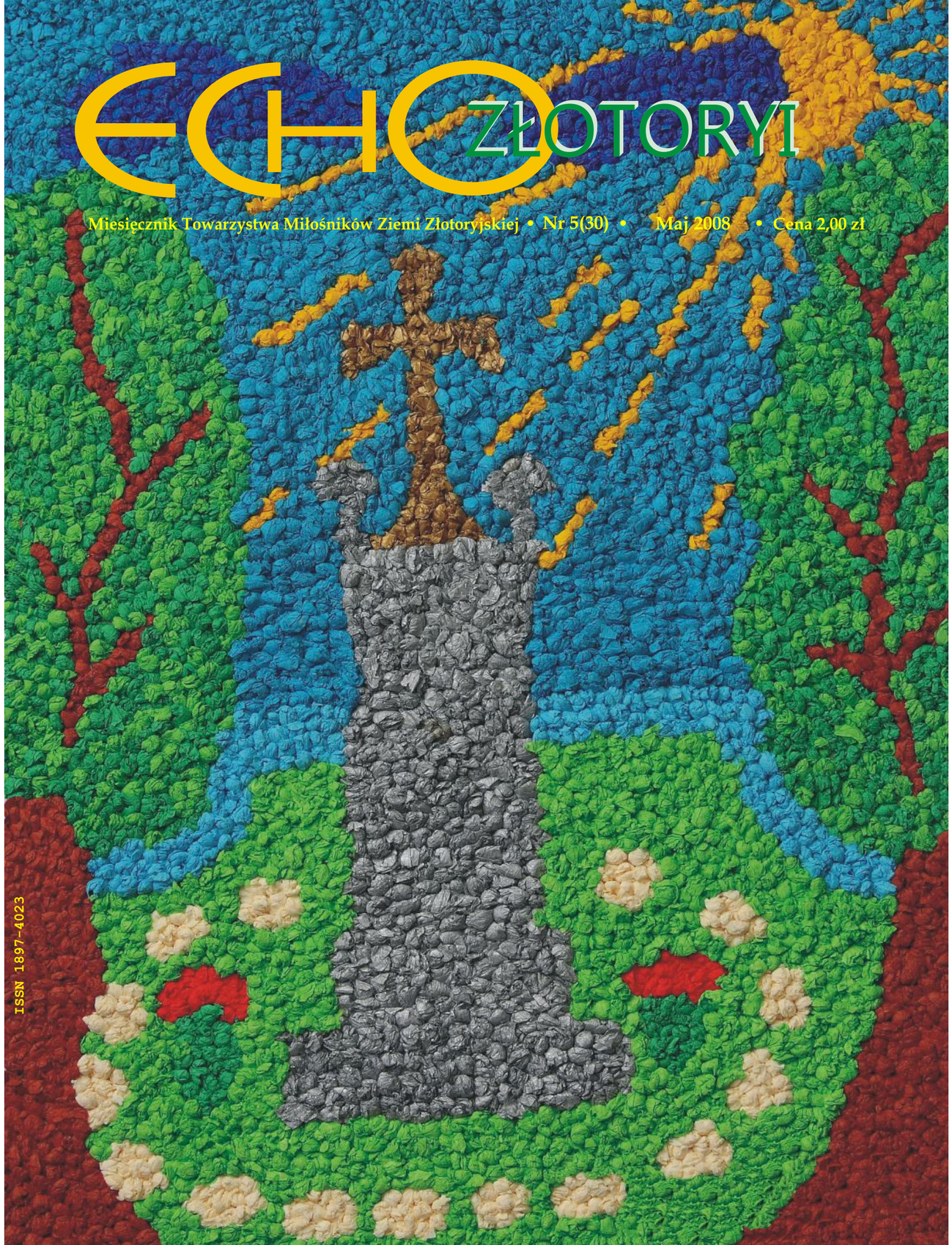

ISSN 1897-4023

Małgorzata Oskwarek z synkiem Rafałkiem - archiwum rodzinne

To była moja najpiękniejsza ciąża

- Witam serdecznie - energiczny uścisk ręki pani Małgorzaty na powitanie. - A to jest mój syn. Rafałku, pani przyszła, będzie o nas pisać. - Te słowa zostały wypowiedziane do znikającej błyskawicznie za fotelem główki dziecka o włosach jak spłowiała na słońcu słoma. - On tak zawsze na początku - mówi z lekkim zażenowaniem mama. - Potem wyjdzie zza fotela. Trochę się wstydzi. Ma dopiero trzy latka.

Decyzję o wspólnym dziecku Oskwarkowie podjęli, gdy Małgorzata miała już 38 lat. Czuła się nadal bardzo dobrze, była zdrowa i sądziła, że udźwignie trud kolejnej ciąży. Tak Małgorzata, jak i jej mąż Rafał mieli swoje dzieci z poprzednich związków. Teraz dzieci dorosły, a oni kochali się tak bardzo, że zapragnęli mieć wspólne dziecko. Zdawałoby się, że nic trudnego. Zaczęli więc wprowadzać w czyn swoją decyzję. I tu się zawiedli. Po kilku miesiącach - nic. Po następnych kilku miesiącach - znowu nie było ciąży. Postanowili udać się do lekarza. Ten po badaniach stwierdził, że nie ma żadnych przeszkód fizycznych do zajścia w ciążę. Próbowali więc nadal. Minęło kilka lat starań o dziecko, gdy Małgorzata stwierdziła, że chyba już przekwita, więc na pewno w ciążę nie zajdzie. Wystąpiły typowe objawy klimakterium: permanentne zmęczenie, uderzenia gorąca, wzmożona nerwowość. Strasznie też bolał ją kręgosłup. Znała to dobrze z opowiadań koleżanek. Szkoda - pomyślała - i znów udała się do lekarza. Tym razem po leki osłabiające objawy menopauzy.

Państwo Oskwarkowie rozpoczęli remont kuchni. Małgorzata - jak to w jej stylu - skakała po drabinach i przyklejała tapety. Urządzała sobie wymarzoną kuchnię. Wtedy poczuła się jakoś dziwnie. Ni to głodna, ni to zmęczona, ni to zdenerwowana. Mąż po przyjściu z pracy postawił diagnozę od razu:

- Czy czasem nie jesteś w ciąży?

- Do głowy mi nie przyszło, aby robić jakieś testy ciążowe, bo przecież przekwitałam - opowiada pani domu. - Nie wierzyłam własnym uszom, gdy lekarz powiedział mi, że to na pewno ciąża - w słowach kobiety zadźwięczała taka sama radość jak wtedy, przed trzema laty. - Dopiero wtedy zaczęłam robić stosowne analizy, aby potwierdzić diagnozę. Potwierdziła się. Byłam w ciąży! Ale nie miałam już 38 lat, lecz aż 43. Doskonale zdawałam sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmujemy, decydując się na dziecko.

- Ale tym razem masz być bardzo ostrożna - stwierdził kategorycznie mąż pani domu. - Na Florydę w tym roku nie możemy jechać.

Tutaj Małgorzata się postawiła. Co? Nie pojedzie na swoją ukochaną Florydę? Ależ ona musi!

- Skoro Bóg postanowił w swojej nieskończonej dobroci dać mi to dziecko, to znaczy, że jestem na tyle zdrowa, że mogę jechać na amerykańskie wakacje - zwierza się mama Rafałka. - Byłam przekonana, że tym razem ciążę donoszę i urodzę zdrowe dziecko. W rodzinie mojej i Rafała nigdy nie było żadnych chorób genetycznych.

Na trójwymiarowe badanie USG Małgorzata i Rafał wybrali się oczywiście razem i razem też weszli do gabinetu.

- Chcecie znać płeć dziecka? - spytała pani doktor.

- Oczywiście! - odpowiedzieli zgodnym chórem.

- Chłopak! - obwieściła dobitnie pani doktor, a Rafałowi ze szczęścia łzy stanęły w oczach.

Będą mieli wymarzonego synka! Oczywiście, że pozwoli jechać żonie na Florydę. Przecież musi wypocząć, zresztą oboje potrzebowali oddechu od codzienności.

- O, tu jestem w ciąży na Florydzie - pani Małgosia pokazuje zdjęcie pięknej kobiety na plaży w jednoczęściowym stroju, z lekko wydatnym brzuszkiem kilkumiesięcznej ciąży.

- To była moja najpiękniejsza ciąża - wspomina. - Wszyscy mi usługiwali, dogadzali, a ja czułam się jak królowa. Nic mi nie dolegało, czułam się wspaniale.

Małgorzata urodziła synka 31 maja, w czterdziestym czwartym roku swojego życia. To był najwspanialszy prezent dla męża, który w tym dniu miał urodziny. Poród poprzez cięcie cesarskie przebiegł bez żadnych zakłóceń, Rafałek okazał się zdrowym niemowlęciem.

- W tej chwili Rafałek ma trzy latka, nie choruje, jest odporny. Cała rodzina za nim przepada. Dzięki temu dziecku moje dorosłe córki nauczyły się, jak pielęgnować niemowlę i radzić sobie z niezależnym charakterkiem kilkuletniego dziecka - śmieje się moja rozmówczyni. - Teraz czekam na wnuki od nich. Żeby Rafałek miał się z kim bawić - dodaje.

- Rafałku, co ty tam robisz? - mama biegnie do łazienki, skąd dobiegają odgłosy chlupotania wody. - O, widzi pani? Cały mokry! - Rafałek prezentuje dumnie mokrą głowę ze ściekającymi strugami wody. W końcu zdołał zwrócić na siebie uwagę pani, która przyszła pisać o nim i o jego mamie.

- Nic mu nie będzie, jest odporny, ale głowę trzeba wytrzeć.

- I jeszcze coś chciałam powiedzieć. Moje koleżanki i znajome zaczęły mi zazdrościć, widząc nas z wózkiem na spacerze w mieście. Zastanawiałam się, dlaczego.

„No bo masz dziecko, jesteś znowu matką" - powiedziała prosto z mostu moja teściowa.

- No tak, miałam w sobie takie pokłady miłości, że mogłabym obdzielić nimi jeszcze kilkoro dzieci. Dzięki Rafałkowi, przez obowiązek opieki nad nim, mogłam znieść śmierć mojego kochanego ojca. Nie wiem, jak to by było, gdyby wtedy nie było Rafałka - opowiada pani Małgorzata, a łzy wzruszenia grochem toczą się jej po twarzy. Płaczę razem z nią, bo przecież wiemy obie, że miłość macierzyńska jest uczuciem wyjątkowym i często brak słów na jej opisanie.

Agnieszka Młyńczak

Co wieczór modliłam się ze wszystkich sił...

- To jest Małgosia, ma 6 miesięcy, a to jej brat - ma 18 lat. Gdy byłam w ciąży, to chciał, żeby urodził się chłopak, ale gdy zobaczył malutką dziewczynkę, stwierdził, że za żadne skarby nie chciałby brata. Przepada za siostrą - przedstawiła swoje dzieci pani Joanna.

Decyzję o drugim dziecku podjęli z mężem dopiero wtedy, gdy syn miał 10 lat. Lecz na przeszkodzie stanęły hormony.

- Pracowały jak chciały - opowiada moja rozmówczyni.

Leczenie nie było łatwe, ale po pięciu latach lekarz orzekł, że hormony są już w normie.

- Wtedy próbowaliśmy… próbowaliśmy… A tu nic! Już się zaczynałam bać, że nic z tego nie będzie. Znów poszłam do lekarza.

- To blokada psychiczna - zawyrokował lekarz. - Proszę w ogóle nie myśleć o tym, że chce pani zajść w ciążę.

- Tak zrobiłam. Zostawiłam to.

W marcu Joanna poddała się operacji usunięcia woreczka żółciowego. Musiała przedtem wziąć szczepionkę przeciw żółtaczce. Gdy po powrocie do domu nie wystąpiła menstruacja, sądziła, że to skutek zabiegu, bo w różny sposób organizm reaguje. Ale coś ją tknęło i znów poszła do lekarza.

- Coś jest nie tak, proszę pani - lekarz sceptycznie zareagował na jej doniesienia o zaburzeniach cyklu. - Robimy USG.

- Dopiero to badanie wykazało, że w środku jest dwumiesięczne dziecko. Wtedy zaczęłam się bać - wspomina moja rozmówczyni. - Myślałam, że się rozpłaczę ze strachu. Po tylu latach, staraniach, czekaniu, mogłam zniszczyć - zupełnie nieświadomie - to, na co najbardziej czekałam. Co wieczór modliłam się ze wszystkich sił, żeby się maleństwu nic nie stało. Na całe szczęście Małgosia po urodzeniu miała tylko silną żółtaczkę, od tej szczepionki. Wchłonęła wszystko.

Joanna bała się porodu. Lekarz ją ostrzegał, że kolejny poród po ośmiu latach przerwy, to jak pierwszy raz. Na sali porodowej była najstarszą matką, miała 38 lat. Po wielu ciężkich i bolesnych godzinach urodziła się zdrowa, choć niezbyt duża Małgosia.

Joanna z córeczką Małgosią - fot. A. Młyńczak

Była śmieszna sytuacja, gdy po zajęciach szkolnych przyszedł do mamy w odwiedziny syn. Pielęgniarka nie chciała go wpuścić, bo było już późno.

- Ja tylko chcę zajrzeć na chwilkę do mamy - przekonywał pielęgniarkę chłopak.

- Do mamy czy do żony? - pielęgniarka nie miała ochoty na żarty. - Do której mamy? - spytała jeszcze ostrzej otwierając szeroko drzwi do sali, gdzie leżała Joanna.

- No tu, pod oknem, to moja mama.

- Nic nie wiem na ten temat - obraziła się pielęgniarka i wyszła z sali, sądząc w dalszym ciągu, że to żarty.

- Na wieść o mojej ciąży rodzina doznała w szoku. Sądziła, że żartuję. Mąż uwierzył dopiero wtedy, gdy mu pokazałam zdjęcie z USG - wspomina ze śmiechem pani Joanna. - Natomiast syn był w siódmym niebie, bo zawsze chciał mieć rodzeństwo. Bardzo mi pomaga w zajmowaniu się małą. Jest bardzo świadomy i dojrzały.

- Natomiast koleżanki, które mają już prawie dorosłe dzieci, uważają, że ta mała Małgosia będzie się nami opiekować, gdy będziemy starzy. Myślę, że tak chyba będzie - pani Joanna z miłością przytula uśmiechającą się córeczkę.

Rozmawiała Agnieszka Młyńczak

Bez niej nie mogłabym żyć

Gdyby zapytać kogokolwiek o najważniejszą osobę w życiu, prawie każdy odpowiedziałby, że jest nią matka. Matka, jak nikt inny, rozumie swoje dziecko i jest w stanie dla jego dobra poświęcić wszystko, nawet własne życie.

Pani Marzena D. jest od urodzenia złotoryjanką. Ukończyła nasze LO, później studia ekonomiczne.Poznałam ją siedem lat temu, miała wtedy 38 lat. Przyszła do poradni dzieci zdrowych ze swoją córeczką. Kaja miała miesiąc. Urodziła się przez cięcie cesarskie z wagą 2.800 g i z 10 punktami Apgar. Ta dojrzała kobieta była bardzo opanowana, spokojna. Uważnie słuchała rad lekarza. Z perspektywy czasu, sama mogłaby teraz udzielać mądrych rad młodym mamom, niekoniecznie młodych wiekiem.

J.K.: Skończyła Pani studia, czy dalsze plany przewidywały założenie rodziny?

M.D.: Plany życiowe układałam trochę inaczej niż moje rówieśniczki, one miały dzieci, rodzinę. Ja snułam plany zawodowe - zostałam główną księgową, zarabiałam dobre pieniądze, było mi dobrze, podróżowałam. Małżeństwo i pieluchy nie bardzo mnie interesowały. Aż przyszedł odpowiedni moment. Stwierdziłam, że wycieczki to jednak nie wszystko. W wieku 37 lat wyszłam za mąż. I życie nabrało innego kształtu.

J.K.: Co to znaczy, że życie nabrało innego kształtu?

M.D.: Na świat przyszła moja córeczka. Młode matki rodząc dzieci są w stanie euforii, cieszą się, ja z kolei dojrzewałam chyba wolniej, nie zauważyłam, żeby ten moment był dla mnie radosnym wydarzeniem, był raczej powinnością. Dużo czytałam na temat przyjścia dziecka na świat, macierzyństwa i widzę, że książki czy czasopisma nie do końca mówią prawdę.

J.K.:Jak się pani przygotowywała do macierzyństwa?

*M.D.:*Kiedyś uważałam, że wychowanie dziecka to prosta sprawa, dawałam rady swoim koleżankom, ale jak nie ma się doświadczenia, nie należy za wiele mówić, rady te nie były poparte życiowym doświadczeniem. Moja kuzynka jest położną z prawdziwego zdarzenia, ma ogromną wiedzę. To ona przekazała mi dużo informacji odnośnie pielęgnacji dziecka, karmienia piersią. Była mi oparciem w każdej trudnej sytuacji.

J.K.:Początki bywają trudne, jak Pani sobie radziła?

D.M.:Położna uprzedzała mnie, że po porodzie należy szybko wstawać, aby nie doszło do zakrzepów żylnych i nieważne, jak dokładnie się przykładałam, to i tak się wytworzyły. Sama musiałam robić sobie iniekcję w brzuch, aby nie doszło do dalszych powikłań. Dziecko karmiłam na życzenie, czyli tak, jak trzeba i chyba nie muszę kończyć. Po czasie jednak przyplątał mi się ropień piersi - nacięcie i znowu cierpienie.

J.K.:Jakim dzieckiem była malutka Kaja?

D.M..: Córkę wychowywałam książkowo. Każdy miesiąc czytałam dokładnie i wskazówki wcielałam w życie. Nie miałam z nią żadnych problemów, spała, jadła, kolek nie miała, mówiła szybko, aczkolwiek później chodziła.

J.K.: *W którym momencie Kaja stała się jedną z najważniejszych osób w Pani życiu?*

M.D.: Ona zawsze była ważna w moim życiu, za żadne skarby świata nie oddałabym jej. Kiedy miała roczek, stwierdziłam, że bez niej nie mogłabym żyć.

J.K.:*Jak Pani siebie spostrzega jako matkę?*

D.M..: Panie w moim wieku czekają na wnuki, a ja mam małą córeczkę. Kiedyś zadałam jej pytanie:
- Kaja dzieci w przedszkolu nie mówią, że przyszła po Ciebie babcia albo dziadek?
Moja siedmiolatka oburzona - no wiesz co, mamo!

J.K.: *Matki snują plany wobec dzieci. Jakie są Pani plany?*

D.M..: Jak wszystkie mamy czytam bajki. Gdy szykujemy się na wycieczkę, przygotowujemy się do niej. Chcemy jechać w tym roku do Wadowic, więc poznajemy Papieża, potem do Krakowa - zastanawiamy się dlaczego Lajkonik tańczy na rynku, dlaczego jedna wieża kościoła Mariackiego jest wyższa a druga niższa. Odpowiedzi szukamy w książkach dziecięcych. Czas staramy się spędzać pożytecznie, nie siedząc przed telewizorem i przy komputerze. Chciałam Kaję nauczyć jeździć na łyżwach i nartach, więc sama ubrałam łyżwy (ostatni raz jeździłam 20 lat temu - śmiech) i obie jeździłyśmy. Czasami krępuje mnie mój wiek, ale tak naprawdę dzieci ujmują lat rodzicom i tak się czuję. Tatuś również angażuje się w życie Kai. Kilka dni potrafią wspólnie układać puzzle. Bajeczne rzeczy wykonują z origami. Ich wspólne prace poukładane są w pokoju. Chcę, aby jej dzieciństwo było radosne i ciekawe.

J.K.: Czy wychowanie Kai wiąże się z drażliwymi sytuacjami?

M.D.: Moje dziecko ma szczupłą sylwetkę. Niektóre osoby z mojego otoczenia sugerują, że jest chore, bo mało je. Je może niedużo, ale to zdrowa dziewczynka, na potwierdzenie wykonałam badania krwi, które są prawidłowe. Nie było to całkiem za darmo - musiałam z córką iść na układ, w którym obie strony byłyby usatysfakcjonowane.Wiele matek ma poranny problem ubioru, dzieci nie mają ochoty na przygotowaną odzież, chcą po swojemu - ten problem mam rozwiązany. Ja muszę zadbać, aby ubrania były wyprane i wyprasowane. Resztę robi moja córeczka. To ona kreuje swoją modę.

J.K.: *Myśli Pani o rodzeństwie dla Kai?*

D.M..: Zbyt dużo przeszłam po porodzie i mam już swoje lata, nie chcę być starą mamą dla nowonarodzonego dziecka. Prowadzimy otwarty dom, zapraszamy na soboty i niedziele zaprzyjaźnione z Kają dzieci. Chcemy, aby nasze dziecko miało bez przerwy kontakt z rówieśnikami, a nie tylko z dorosłymi. To taka mała rekompensata, aby nie czuła się jedynaczką.

J.K.: *Czy coś Pani w życiu umknęło?*

D.M.: Utraciłam wolność, ale zyskałam córkę. Kaja dorasta, więc wolności mam coraz więcej i powoli będę mogła realizować swoje plany odłożone na półkę.

Matka kocha…po prostu… i właśnie to jest najpiękniejsze. Miłość, jaka łączy ją z dzieckiem, jest jedyna w swoim rodzaju, bo całkowicie bezwarunkowa.

Rozmawiała Jana Kałuża

ECHO ZŁOTORYI

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej

Adres redakcji: Złotoryja, u.l Szkolna 1 (Dom Nauczyciela "Bacalarus" - poddasze), tel.: 076 8788137, Adres internetowy: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl

W pracach redakcyjnych uczestniczyli: Anna Chrzanowska, Roman Gorzkowski, Jana Kałuża, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska (opieka nad dziennikarzami z LO w Złotoryi), Robert Pawłowski (red. naczelny), Jolanta Zarębska (korekta).

Okładka: Pomnik Szenkfedystów w Twardocicach - Dominika Lutynia z SP w Twardocicach - I nagroda w konkursie (więcej na stronach 8 i 9.

Miejskie ustawki

Chłopcy bawiący się na podwórku w wojnę nikogo nie dziwią. Biegają z plastikowymi pistoletami, udają, że biją się między sobą niczym bohaterowie filmów akcji. Ich zachowanie jest naturalne, w końcu są zafascynowani dorosłymi, wysportowanymi mężczyznami i chcą być tacy sami. Kiedy jednak przekroczą pewną granicę wieku, a do rozrywki wciąż zaliczają bijatykę mówimy o agresji i... mamy rację.

Złotoryjscy gimnazjaliści toczyli ze sobą wojnę. Bitwę, która tak na prawdę nie ma sensownych podstaw. Pretekstami do bójek były rzucane sobie wyzwiska czy też ulica przy której młody człowiek mieszka. Chłopcy zmawiali się w liczne grupy, wybierali pewne miejsca (znajdujące się na uboczu miasta), po to, by się bić. O takiej formie spędzania wolnego czasu szybko dowiedziało się grono pedagogiczne. Reakcja była natychmiastowa. Nauczyciele gimnazjalistów telefonowali do opiekunów każdego z uczniów. Informowali o zaistniałym konflikcie, o niebezpieczeństwie, jakie grozi ich dzieciom. Proszono również, by zaostrzyć kontrolę nieletnich np. : nie wypuszczać pociech z domu po godzinie 19. Poinformowano również policję, by częściej sprawdzała ciemne uliczki i zakamarki miasta. Na ulicach rzeczywiście pojawiło się więcej patroli.

Początkowo miasto obiegła plotka, iż stronami konfliktu są oba złotoryjskie gimnazja. Wtedy pojawiły się sugestie o błędnie podjętej decyzji burmistrza, który umieścił gimnazjum nr 1 w budynku przy ulicy Wilczej. Jednak podczas rozmów z nauczycielami dowiedzieliśmy się o innym podziale grup walczących między sobą. Konflikt trwa pomiędzy „górą" a „dołem" miasta. Czyli ulicami Cmentarnej i jej okolicami a Górniczą. Faktem jest jednak, że taki podział ma ścisły związek z gimnazjami. Większość mieszkańców ulicy Górniczej to uczniowie „dwójki" a Cmentarnej- „jedynki". Wykluczanie więc napięć pomiędzy uczniami obu szkół jest bezpodstawne.

Gdy byliśmy w tych placówkach, by przypatrzyć się sytuacji z bliska, nie spostrzegliśmy tzw. piorunów w oczach. Gimnazjaliści przebywali na odrębnych terenach szkół, nie spędzali wspólnie przerw. Ludzie mieszkający przy ulicy Wiśniowej (tuż przy szkole) mówią, że spokojnie przestaje być, gdy kończą się lekcje. Charakterystyczną cechą jest to, że wyklinają na siebie, grożą sobie i straszą kolegami. Co mają do powiedzenia sami zainteresowani? Jaki jest ich pogląd o tej sprawie?

„Cały konflikt zaczęła jedna osoba z miasta, która wyzywała ludzi z Cmentarnej. Pierwsza „akcja" rozegrała się, kiedy wracaliśmy z kolegami z imprezy trochę pjjani . Jeden z naszych kolegów, który szedł z przodu, zaczął krzyczeć i zaalarmował nas, żebyśmy lepiej uciekali, bo idą kolesie z Cmentarnej. My jednak się nie wystraszyliśmy i szliśmy dalej. Trzech z nich podeszło do nas i powiedzieli żebyśmy stąd „spier******". W tym samym czasie reszta Cmentarnej złapała naszego kolegę. Przycisnęli go do ściany i mu grozili. Zapytali, czego tu szukamy. Odpowiedzieliśmy, że na kogoś czekamy i szybko zadzwoniliśmy po kolegów. Ziomki zjawiły się po pięciu minutach i poszliśmy bić leszczy. Bitka trwała dziesięć minut, a po upływie tego czasu, nie wiadomo skąd, ich starsi koledzy zaczęli wychodzić z bram. Nie mieliśmy szans, uciekliśmy w górę miasta. Kolejnego dnia zaczęły się poszukiwania. Biegali za nami uzbrojeni w pałki i kastety. Kiedy się o tym dowiedzieliśmy, to również zebraliśmy siły. Było nas z piętnastu, a ich z trzydziestu. Gdy zdecydowaliśmy się uciekać, doszło do nas, że brakuje nam jednego kolegi. Został ciężko pobity. Następnego dnia znów zebraliśmy ekipę, tym razem lepszą. Niestety, nasze plany popsuła policja. Zwinęła sześciu z nas. Po tym incydencie daliśmy sobie spokój na parę dni. Chcieliśmy zrobić z nimi ustawkę na muszli o 16. Chyba się bali, nie przyszli, chociaż nie wiedzieli, jaka ilość ludzi miała się zjawić. Nie było ich w umówionym miejscu, więc poszliśmy sprawdzić na „czwórkę". Nagle znów usłyszeliśmy policyjne syreny. Zaczęliśmy uciekać. Rozproszyliśmy się, więc nie mieliśmy czasu dalej szukać Cmentarnej. Kilka dni później wychodząc ze szkoły zobaczyłem typa od nich. Zebrałem swój team szkolny i poszliśmy ich tłuc pod sklepem „nalepka". Cmentarna dostała ostry oklep. Po tych wydarzeniach nic już się nie działo, ale my nie odpuścimy."

Sytuacja zdaje się być przerażająca. Agresja jaką wykazują się gimnazjaliści jest ogromna. Może to brak rozrywek, albo opieki skłania ich do takiego postępowania. Jednak w ostatnich miesiącach nie słyszy się już tak wiele o ustawkach i bijatykach. Może, więc rekacja nauczycieli, policji i rodziców była skuteczna, albo (w lepszym wypadku) to gimnazjaliści podjęli trwałą decyzję o odpuszczeniu i spokojnym życiu nastolatka.

Michał Lakwa i Paula Wełyczko

Rodzice na skypie

Kiedy na przełomie 2004 i 2005 roku otworzyły się europejskie rynki pracy, dla nas, Polaków, szczytem marzeń był zarobkowy wyjazd do Wielkiej Brytanii bądź Irlandii. Tysiące młodych ludzi widziały na Wyspach Eldorado, gdzie dorobią się i po kilku latach wrócą do kraju, by ułożyć sobie życie od nowa. Jednak nie tylko maturzyści czy świeżo upieczeni absolwenci wyższych uczelni poszukiwali upokarzającej pracy „na zmywaku". Pokolenie 40-latków, by zapewnić przyszłość swoim dzieciom, porzucało rodziny na długie miesiące, a nawet lata. Tylko czy rzeczywiście żyć w dobrobycie znaczy więcej niż żyć biednie, lecz razem?

Osiemnastoletni Filip do dziś wspomina, że w najważniejszych momentach jego życia, zabrakło mu ojca:

-Kiedy facet dorasta, potrzebuje jakiegoś męskiego wzorca. Taty często nie było w domu, dlatego pomocą służył mi zawsze ojciec mojego kumpla. Zazdroszczę tym, którzy zawsze mają oboje rodziców na miejscu.

Choć tato Filipa nie wyjechał za chlebem, jak większość - do Wielkiej Brytanii, ale do Niemiec, chłopak równie dotkliwie odczuł to, że jeden z rodziców mieszka tak daleko od domu. Na pytanie czy ma dobry kontakt z ojcem odpowiada:

-Ja go kocham, ale jak jest we Frankfurcie, na odległość. Po prostu się odzwyczaiłem od jego obecności.

Chłopak nie jest typową „eurosierotą". Jego tato do Niemiec wyjechał już 18 lat temu i choć żona i starsza córka miały zamiar do niego dołączyć, przyjście na świat Filipa pokrzyżowało ich plany.

-Gdybyśmy wtedy wyjechali, mieszkałbym z ojcem - mówi Filip- A tak, to przyjeżdża co trzy miesiące i to jeszcze na weekend. Owszem, poświęcał mi wtedy naprawdę dużo czasu, ale co to znaczy wobec tych straconych w dzieciństwie?

Nieprawdą jest, że „eurosieroty" to nowy problem. On istniał od dawna, lecz nasilił się wraz z wejściem Polski do Unii Europejskiej. Ojciec Jagody (18 lat) również pracuje za granicą. Hiszpania to od 9 lat jego drugi dom.

-Tato zaczął tam pracować, kiedy moja mama spodziewała się Oli, mojej młodszej siostry. Gdy dowiedział się, że mama rodzi, wsiadł w samolot i od razu przyleciał. Trochę lipa, mieszkać tak daleko od domu. Mama nie może się nim nacieszyć, kiedy przyjeżdża do Polski. – Ale Jagoda widzi w tej sytuacji plusy - *Tato przywozi nam prezenty. No, i możemy skończyć budowę nowego domu.*

Ojciec dziewczyny nawet na urlopie myśli o pozostawionej pracy.

-Tato jest kierowcą tira. Na niedzielnych mszach jest bardzo skupiony…na obliczeniach: ile benzyny potrzebuje na kolejną trasę i ile to będzie kosztować.

Sama Jagoda mówi, że nie wyjechałaby z Polski, bo jaka ona by nie była, to jednak „Dobra, kochana Polska". Na potwierdzenie mówi:

-Gdy w polskim sklepie zepsuje się kasa fiskalna, ekspedientka bierze kalkulator i dalej pracuje. Gdy taka sytuacja zdarzy się w Niemczech - sklep jest zamykany aż do naprawy kasy. Polacy sobie zawsze poradzą.

Choć sytuacja materialna rodziny Jagody znacznie się poprawiła od wyjazdu ojca, to jednak zawsze pozostaje tęsknota. I co najgorsze – przyzwyczajenie, że tato w domu jest tylko gościem.

To przykre, że dzieci odzwyczajają się od obecności rodziców. Jeszcze bardziej przykre, że ta sytuacja w Polsce staje się powszechna. Najtrudniej przeżywają to dzieci w wieku przedszkolnym i wczesnoszkolnym. Pierwsze potknięcia, sukcesy czy nawet pierwsze miłości muszą przeżywać sami, bez wsparcia. Jedynymi powiernikami są dziadkowie, którzy wychowują „porzucone" wnuki lub rówieśnicy.

Bo bywają przypadki, że oboje rodzice podejmują pracę za granicą. Dziecko znajduje się wtedy pod opieką dziadków, lub - jeżeli to nastolatek - ryzykuje się zostawiając go w domu samego. W czasach komunizmu i wczesnego kapitalizmu „za chlebem", najczęściej do Stanów Zjednoczonych, wyjeżdżali głównie mężczyźni. Obecnie to zjawisko uległo zmianie. Wśród Polaków, którzy mieszkają i pracują w Wielkiej Brytanii, 41 procent to kobiety. Połowa z nich ma dzieci, które zostawia w kraju.

Ania (7 lat), której mama musiała wyjechać do Włoch opowiada:

-Opowiadam mamie, co było w szkole, ale przez skype'a. Mama przyjeżdża tylko na Gwiazdkę i czasem latem. W przyszłym roku przyjedzie chyba na moją komunię. Powiedziała, że przywiezie mi z Włoch piękny prezent.

Tato Ani miał spore problemy, by odnaleźć się w nowej sytuacji. Opieka nad małą, a przede wszystkim poczucie, że to żona jest główną żywicielką rodziny, sprawiły, że był na skraju załamania. Pomocą służyła mu teściowa, która mieszka stosunkowo blisko.

-Czasem jest mi bardzo smutno - stwierdza dziewczynka - *Ale gdyby nie wyjazd, mama nie przywoziłaby mi tak wspaniałych prezentów.*

Na przykładzie Ani widzimy, że „eurosieroty" opowiadają o rodzicach, tęsknią, ale tak naprawdę rodzice zaczynają kojarzyć im się z upominkami przesyłanymi w paczkach – słodyczami czy ubraniami, którymi można się pochwalić wśród rówieśników.

Na szczęście czas, w którym nagminnie przybywało „eurosierot" już minął. Praca na Wyspach czy we Włoszech przestała się opłacać, poprzez wzrost konkurencji z nowoprzyjętych krajów Unii Europejskiej- Rumunii i Bułgarii. Ci, którzy zdecydowali się jednak zostać za granicą i realizować swoje marzenia o życiu w dobrobycie, coraz częściej zapraszają swoje rodziny do siebie. Dzieci mogą nauczyć się języka obcego, a wiedzę o Polsce poszerzać u polskich opiekunek lub w nowo powstałych i coraz popularniejszych „polskich szkółkach" (więcej na ten temat m.in. na stronie www. wspolnota-polska.org.pl). Mimo to zdarzają się dramatyczne przypadki: "Próbowałem was ostrzec, ale nikt mnie nie słuchał" – napisał w swoim ostatnim liście 14-letni Adam, którego rodzice wyjechali za granicę zostawiając jego i trójkę rodzeństwa pod opieką dziadków.

Budujące jest jednak to, że coraz więcej osób zdaje sobie w końcu sprawę z tego, co traci w pogoni za pieniądzem, który przecież nie jest najważniejszy. A co jest? Uśmiech dziecka, kiedy dzieli się z nami nowymi przeżyciami, możliwość patrzenia na jego dorastanie, kształtowanie go na przyszłość. Rodzice, którzy tak myślą, wracają do domu, bo chcą tego wszystkiego doświadczyć.

Aleksandra Falęcka

18

Osiemnaste urodziny to dla wielu ludzi ważny moment w życiu. To taki „próg" w drodze ku dorosłości. Młody człowiek dostaje dowód osobisty, ma możliwość zrobienia prawa jazdy, staje się odpowiedzialny za samego siebie. Dla uczczenia tego jedynego w swoim rodzaju „przejścia" organizuje się przyjęcia, bale… Rodzaj imprezy to kwestia indywidualna, bo przecież definicja dobrej zabawy jest mało jednoznaczna. Jednakże „osiemnastka" pod każdą postacią wymaga pewnych nakładów finansowych. W zależności od miejsca, czasu, menu, liczby gości i innych dodatkowych atrakcji, rachunek jest różny.

By zapoznać się z nowymi trendami organizowania osiemnastek, postanowiłam rozejrzeć się wokół. W końcu sama niebawem przekroczę ten magiczny próg, więc nabytą wiedzę zaraz wykorzystam w praktyce.

Złotoryja to dosyć małe miasto, ale pełne kuszących ofert. Chyba należy zacząć od lokali zamkniętych, bo to właśnie one cieszą się największym powodzeniem zarówno w sezonie zimowym, jak i letnim. Są dwie opcje: Sala, którą udostępnia właściciel na odpowiedzialność dorosłego lub cały pub. Do kwoty wynajęcia pomieszczenia należy doliczyć przekąski lub ciepłe posiłki, alkohol, by wznieść toast za solenizanta oraz inne, preferowane przez gości dania. Można pokusić się o wynajęcie DJa, który zabawi nas „do białego rana". Dobra muzyka to czasem połowa sukcesu szampańskiej zabawy.

Z pomieszczeń zamkniętych można wyjść „na zewnątrz". Ci, którzy są fanami biesiadnych klimatów, mogą wyjść z murów – ten pomysł jest ryzykowny, aczkolwiek to ekonomiczne rozwiązanie. Wynajem lokalu nie kosztuje nic, ale są także negatywne aspekty tego typu rozwiązania. Deszcz koliduje z uroczym barbecue. Kolejne ryzyko stwarzają „nieproszeni goście". Na terenie bez ogrodzenia ciężko zadbać o „imprezę zamkniętą". By osiemnastka utkwiła w pamięci gości, należy coś, co postarać się o wyróżni ją spośród innych. Tutaj liczy się pomysłowość, fantazja. Ostatnim hitem są imprezy stylizowane. W zaproszeniach, które są bardzo ważną częścią przedsięwzięcia, prosi się gości, by przygotowali się odpowiednio do klimatu zabawy. Największym zainteresowaniem cieszą się przyjęcia w stylu retro: lata 70, 80, oraz te, które inspirowane są kulturą egzotyczną, np.. indyjską.

18. urodziny, na pozór niewinna uroczystość, pochłania duże pokłady energii i pieniędzy. Czy warto? Jako gość mogę powiedzieć, że tak. Miło jest świętować ze znajomymi ich wkroczenie w dorosłe życie, a korzystanie z uprzejmości gospodarzy to przecież czysta przyjemność. Co sami gospodarze na to? Zdania są podzielone, niektórzy są zadowoleni, bo impreza się udała. Tutaj chętnie posłużę się doświadczeniem przyjaciół. - *Wydaje mi się że warto, bo po opiniach po imprezie mogę wnioskować, że podobało się to gościom, a i ja byłem zadowolony z tego, że mogłem ich zaprosić* – mówi Tomek. – *Odczuwam satysfakcję, że dobrze bawili się dzięki mnie. Impreza kosztuje, ale z pomocą rodziny spokojnie daje się radę i bilans wychodzi na plus* – dodaje z uśmiechem kolega. Pokusą dla zwolenników imprez są szczęśliwi goście i… prezenty:

- Robię osiemnastkę, bo wiem, że w zamian za oferowaną przeze mnie okazję do zabawy otrzymam fajne prezenty – wyjawia w sekrecie koleżanka.

Inni mają odmienne zdanie:

- Nie, nie warto. Z autopsji wiem, że bywają różne imprezy, nie wszystkie należą do tych udanych i nie zawsze wszyscy będą zadowoleni z ich przebiegu. Szkoda zachodu, pieniędzy, trzeba pilnować ludzi, ¿eby nie byli głodni, żeby się nie upili, żeby się nie nudzili. Pochodzę ze wsi i zaraz by gadali, jaką to ja 18-tke wyprawiłam, że wielka pani ze mnie i takie tam… - opowiada Ola.

Niektórzy środki finansowe, które mieliby poświęcić na mniejsze lub większe party, wolą przeznaczyć na inne wzniosłe cele tj. prawo jazdy czy zagraniczną wycieczkę. Zdania na ten temat są podzielone.

Ilu jubilatów, tyle różnych zdań i opinii. Można by stworzyć przepis na udaną zabawę. Idealnie rozpoznać składniki, które według uznania łączyłyby się w spójną i wymarzoną całość. Można by poruszyć niebo i ziemię, zaangażować rodzinę i przyjaciół, by wszystko dobrze wypadło. Można by zrobić dużo, albo za dużo. Niepodważalnym argumentem jest jednak fakt, że więcej okazji na osiemnastową zabawę nie będzie, a podobno widok udanej własnej imprezy oraz przeżycia z nią związane, są jednak bezcenne.

Myśleliście, że Wam coś poradzę? Myliliście się!

Martyna Borysionek

Trzecie piętro

Znajdujemy się na III piętrze szpitala imienia Andrzeja Wolańczyka mieszczącym się przy ulicy Hożej 11 w Złotoryi. Jest godzina 5.00. Większość pacjentów jeszcze śpi, ale pan Marian rytualnie wstaje skoro świt. Jest jednym z czynnych podopiecznych. Pierwszą czynnością zaraz po przebudzeniu jest poranna toaleta. Ze względu na niecałkowitą sprawność zajmuje mu to około dwóch godzin. Później jest śniadanie. Pan Marian odżywia się samodzielnie, jednakże są pacjenci, którzy wymagają pomocy pielęgniarek. W drastycznych przypadkach są karmieni drożylnie. Po posiłku są zabiegi: zmiana kroplówki, zastrzyki, antybiotyki, inhalacje. O 12:30 jest obiad. W czasie wolnym pan Marian rozwiązuje krzyżówki, czyta, spaceruje po oddziale, słucha radia. Choruje od 22 lat. W szpitalu spędza od 8-9miesięcy. Nękają go: obstrukcyjna choroba płuc, ciężka astma oskrzelowa, telepaczka serca i wysokie ciśnienie. Po wyjściu ze szpitala wraca do córek.

Po obiedzie na oddział przychodzi rehabilitantka, pani Jolanta Puńko, która znajduje chwilkę czasu, aby odpowiedzieć nam na kilka pytań. Dowiadujemy się, że są problemy z rehabilitacją, z powodu braku wykwalifikowanych ludzi. Ta praca wymaga przede wszystkim cierpliwości, wytrwałości i umiejętnego podejścia do potrzebujących. Rehabilitacja odbywa się w każdy dzień, ze zlecenia lekarzy, polega na stopniowym „uruchamianiu" pacjentów, którzy przeszli wylewy, udary i doprowadzeniu ich do samodzielnego funkcjonowania. Nie wszyscy pacjenci współpracują, w tych przypadkach trzeba włożyć więcej wysiłku, aby zdobyć zaufanie chorego. Niestety czasami zdarza się, że nie można poprawić kondycji pacjenta, pomimo dużego zaangażowania.

Obecnie w złotoryjskim szpitalu znajduje się dziewięć oddziałów mieszczących się na pięciu piętrach. Ordynatorem oddziału dla przewlekle chorych jest p.o. Ewa Sobieszek - Bednarek, specjalista II stopnia chorób wewnętrznych. Pielęgniarką koordynującą jest Alicja Rogala. Oddział istnieje od około 10 lat. Świadczy usługi z zakresu rehabilitacji i pielęgnacji pacjentów przewlekle chorych oraz opieki terminalnej. Przez lata wędrował po różnych piętrach by w końcu pozostać na trzecim. W salach mieści się do 3 łóżek. Sale są podzielone na damskie i męskie. Łącznie oddział może pomieścić 35 pacjentów. Dyrekcja szpitala postanowiła powiększyć oddział o nowe sale ze względu na rosnące zapotrzebowanie również z innych rejonów. W tym celu prowadzone są remonty. Obecnie w naszym regionie jest więcej osób straszych, gdyż młodzi wyjeżdżają do większych miast w poszukiwaniu lepszego bytu i warunków do rozwoju. Ci, którzy zostają tłumaczą się, że są tak zajęci pracą, że nie mają czasu, by zaopiekować się starszą rodziną. Zależy to oczywiście od wychowania. Jak mówi stare polskie porzekadło "chcieć to móc".

Kiedyś pacjentem oddziału dla przewlekle chorych mogła zostać osoba, która dostała skierowanie od lekarza w przychodni. Obecnie pacjenci trafiają tam z innych oddziałów (internistycznych, neurologicznych, chirurgicznych, onkologicznych), gdzie zakończyli okres intensywnej opieki medycznej. O wszystkim decydują lekarze prowadzący. Oficjalnie odwiedziny pacjentów w szpitalu obowiązują od godziny 14-18 jednak ze względu na stan pacjentów na oddziale rodzina ma nieokreślony czas odwiedzin. Spotkania z bliskimi niewątpliwie pomagają cierpiącym. Jednak zdarzają się tacy, którzy nawet nie kwapią się by zapytać o stan zdrowia chorej babci czy chorego taty. Pobyt w szpitalu jest bezpłatny. Oddział zaopatruje się w szpitalnej aptece. Wszystko jest fundowane przez NFZ aczkolwiek, gdy rodzina zażyczy sobie dodatkowych 'witamin' dla swojego bliskiego można je zakupić na własną rękę. Krewni pacjentów mogą składać dobrowolne datki na zwiększenie komfortu hospitalizacji. Personel szpitala jest bardzo wyrozumiały i opiekuńczy. Odpowiada na każde wezwanie i spełnia prośby podopiecznych. Zazwyczaj prośby te mają charakter biologiczny. Personel na życzenie pacjenta może także zadzwonić do rodziny i zawiadomić ją o jego stanie zdrowia. Chory może liczyć na pomoc i zwyczajną rozmowę.

Praca na oddziale dla przewlekle chorych jest bardzo ciężka. Polega na całodobowej opiece i leczeniu osób, które przebyły ostrą fazę leczenia szpitalnego w oddziałach opieki krótkoterminowej, mają ukończony proces diagnozowania, leczenia operacyjnego lub intensywnego leczenia zachowawczego, lecz wymagają dalszej hospitalizacji. Ze względu na stan zdrowia i stopień niepełnosprawności oraz braku możliwości samodzielnego funkcjonowania w środowisku domowym wymagają stałego nadzoru lekarskiego, profesjonalnej pielęgnacji i rehabilitacji. Pacjenci nie zawsze siłą się na współpracę. Zdarzają się oporni na leczenie. Dlatego też każda pielęgniarka powinna być uzbrojona w cierpliwość i wyrozumiałość, aby zrozumieć 'humorki' chorych i tłumaczyć 'jak krowie na rowie' dlaczego to jest tak ważne. Zmiana pampersów, czy też kąpanie starszych ludzi nie jest niczym przyjemnym, dlatego nie każdy nadaje się do tej pracy. Wymagane są żelazne nerwy i zdrowy rozsądek.

Często się zdarza, że na oddziale pacjenci kończą swój żywot. Jest to tym bardziej przykre, że personel przyzwyczaja się do każdego z pacjentów. Wtedy szpital zawiadamia firmę funeralną.

Szczególne podziękowania należą się siostrze oddziałowej, która pomimo nawału pracy udzieliła odpowiedzi na nasze pytania oraz pielęgniarkom oprowadzającym nas po oddziale.

Agata Arian i Diana Skurska

Rada Miasta

29 kwietnia o godz. 13.30, **Andrzej Zając** – przewodniczący RM otworzył XIX sesję. Absencja dość wysoka (4 osoby) - ale na kworum wystarczyło.

Tradycyjnie sesja rozpoczęła się informacją burmistrza **Ireneusza Żurawskiego** o działaniach między sesjami. Była to bogata informacja, na którą złożyło się 14 istotnych przedsięwzięć. Wystąpienie burmistrza zwieńczyła informacja o otrzymaniu przez Złotoryję rekomendacji – z pierwszego miejsca! – projektu p.n. „Zespół otwartych stref sportowo – rekreacyjnych". Na ów projekt składa się: budowa wielofunkcyjnego boiska przy ul. Szczęśliwej (z bieżnią wokół boiska), budowa terenów rekreacyjno – sportowych przy złotoryjskich przedszkolach, program profilaktyki (zajęcia i imprezy sportowo – rekreacyjne oraz zakup sprzętu sportowego). Projekt ma formę bezzwrotnej pomocy i realizowany będzie z tzw. Norweskiego Mechanizmu Finansowego. Jest to bez wątpienia sukces złotoryjskiego UM, a ściślej-kompetencji konkretnych osób. Gratulacje Przewodniczącego RM pod adresem Burmistrza były więc zasłużone i na miejscu.

Nastrój na sali był w tym momencie radosny i przeciągnął się aż do **wniosków i interpelacji.** Rozpoczął je radny **Józef Banaszek** od dodatkowych gratulacji, ale żeby nie „przedobrzyć", przypomniał ojcu miasta o „ krzakach rosnących na murze obronnym przy ul. Staszica". Natomiast radna **Lilia Wolańska** pytała Burmistrza o jego zamiary w sprawie „oświetlenia i chodnika na ul... Podwale".

Na obydwa te zapytania Burmistrz udzielił pozytywnych odpowiedzi.

Z uwagi na wiek i przeszłość, **stan zabytków w mieście** jest problemem istotnym. Radni otrzymali informację na piśmie, natomiast w trakcie sesji kwestie omówił i zanalizował burmistrz **I. Żurawski**. Generalnie problem ten w ocenie ojca miasta wypadł pozytywnie. Wskazał tez na działania, które w tym zakresie UM podejmie do roku 2012 (a więc także po jubileuszu 800 – lecia).

Przewodniczący KOKiKF, **Roman Gorzkowski**, poinformował że komisja zajmowała się ostatnio trzema zabytkami : starym młynem przy ul. Kolejowej, którego stan określił jako „opłakany", a Starostwo nie wyjaśniło konkretnie czy obiekt skazuje na rozbiórkę, czy być będzie go reanimować i może doczeka się remontu; Basztą Kowalską, która ma być remontowana; Wielką Wieżę Kościoła NNMP, gdzie trwają prace zabezpieczające. Przewodniczący komisji zwrócił uwagę na notoryczne pomijanie w wykazie zabytków Wieży Ciśnień na Górze Zamkowej (teren LO). Ogólnie uznaje stan zabytków za „dobry", w czym wyraża się troska gospodarzy miasta, za którą dziękuje. Z kolei radny J. Banaszek upomniał się o pamięć o najbardziej burmistrzowskim obiekcie w mieście – o ratuszu (a ja nieśmiało przypominam Szanownym Rajcom o moim piśmie z dn. 13 XI 2006; „E Z" nie chce go opublikować).

Najważniejszym punktem sesji było **przyjęcie sprawozdania z wykonania budżetu za rok 2007**. Problem referował burmistrz I. Żurawski, przypominając, że sprawozdanie przedłożono RM już w dn. 19 III 2007 (w ustawowym terminie). Dochody budżetowe zrealizowano w 100,52%; wydatki – w 93,89%. Sprawozdanie pozytywnie oceniła Regionalna Izba Obrachunkowa; uwag nie wniosła żadna z komisji. Przewodniczący Komisji Rewizyjnej przedstawił opinię i wniosek komisji w sprawie absolutorium, które przesłano do RIO (16 IV 2008), natomiast **Krystyna Barcik**, zastępca przewodniczącego RM przedstawiła uchwałę RIO w sprawie udzielenia absolutorium Burmistrzowi Złotoryi z tytułu wykonania budżetu za rok 2007. Radni jednogłośnie (i prawdopodobnie jednomyślnie) udzieli **I. Żurawskiemu** absolutorium za włodarzenie budżetem w roku ubiegłym. Ten z kolei podziękował rajcom za pomoc. Było więc konkretnie ale sympatycznie. Nawet krytyczni zazwyczaj przedstawiciele TMMZ skierowali pod adresem Burmistrza słowa podziękowania – i były one nie na wyrost.

W sekwencji podejmowania uchwał skarbnik miasta, **Grażyna Soja**, zaproponowała zmianę w budżecie (zwiększenie o 30.415 zł), która po wyjaśnieniu pytania radnego R. Gorzkowskiego w sprawie zmniejszenia środków na Dwujęzyczne Gimnazjum Społeczne, spowodowanego zmianą algorytmu przeliczeń, została jednogłośnie przyjęta. Drugą uchwałą w sprawie zaciągnięcia pożyczki z WFOŚ i GW również została przyjęta w takim samym trybie (pożyczka będzie przeznaczona na remont części Ratusza, Rynek 42).

W sprawach różnych kandydaci TMMZ zaproponowali Burmistrzowi dwie rozbieżne koncepcje („dywanik u prezesa A. Borysa?) zagospodarowania placu za budynkiem UM: Barbara Listwan – parking, Roman Gorzkowski – przygotować miejsce odpoczynku dla pracowników UM. Natomiast jednolite stanowisko zaprezentowali Burmistrz i Przewodniczący: nie chcą odpoczywać; a więc właściciele czterech kółek mogą zacierać ręce.

Sporo czasu zajęła uczestnikom sesji sprawa Lidla, który ma rozwinąć działalność w Złotoryi. Pytała o to radna Wiesława Żak, dziękując uprzednio „za szybką i skuteczną interwencję w sprawie oświetlenia na ul. Słowackiego". W kontekście Lidla poruszono też sprawę krytycznego artykułu w „Gazecie Złotoryjskiej" dotyczącego Lidla oraz eksmisji pewnych osób. Zdaniem burmistrza i artykuł nie odpowiada rzeczywistości, i łączenie obu tych spraw jest niesłuszne.

Rajcowie zakończyli obrady o godz 16.00.

Na podstawie protokołu K. Kamińskiej przygotował do druku

Alfred Michler

Słowniczek

Miasto: „Po staropolsku gród, osada, w której się mieści większa ludność jak we wsi; gdzie kościół, sklepy i kramy handlowe oraz ratusz, gdzie zasiada magistrat (. . .). W XIII dopiero wieku, gdy naszło wielu Niemców zajętych rzemiosłami, ci sadowili się po grodach. . . i te ich osady dopiero zaczęły stanowić miasta" (według encyklopedii Orgelbranda z 1864). Osadnicy niemieccy, którzy przybyli na Śląsk na zaproszenie książąt śląskich, przynieśli ze sobą nie tylko zmiany w sposobie budownictwa, uprawy roli, znajomość rzemiosł, lecz także nowoczesny system prawny. Było nim np. prawo magdeburskie, które Henryk I Brodaty przyznał Złotoryi w roku 1211, na zamku w Rokitnicy. W tej dziedzinie Złotoryja była pierwsza nie tylko na Śląsku oraz na terytorium ówczesnego państwa polskiego ale także jedną z pierwszych w tej części Europy.

Dni Złotoryi wymusiły konieczność zwołania XX sesji Rady Miejskiej zaledwie dwa tygodnie po poprzedniej. Otworzył ją w dn. 15 maja 2008 przewodniczący R M, **Andrzej Zając**. Po przybyciu dwóch spóźnionych radnych frekwencja była 100% (15 radnych). Władze miejskie także w komplecie – z burmistrzem **Ireneuszem Żurawskim** na czele. Miejsca „dla publiczności" też prawie zapełnione, gdyż przybyli wszyscy dyrektorzy placówek – wychowawczych. Zazwyczaj ta część sali wzmacnia „opozycję" – tym razem stało się inaczej.

Oświata i strefa ekonomiczna były podstawowymi tematami sesji, lecz zwyczajowo posiedzenie rozpoczęto **informacją Burmistrza na temat jego działalności między sesjami R M**. Wśród kilkunastu istotnych przedsięwzięć uwagę zwracały te, które miały związek z uroczystościami majowymi.

Wnioski i interpelacje radnych rozpoczął **Roman Gorzkowski** podnosząc trzy sprawy: a)."Co się dzieje" ze zdeponowanymi w Urzędzie Miejskim numizmatami pochodzącymi ze zbiorów Leopolda Schemetterlinga. b). Jakie jest ostateczne i definitywne stanowisko władz wobec ewentualnego partnerstwa z bawarskim miastem Dorfen. c). Kto i dlaczego wyłączył z propozycji zgłoszonych do kalendarza imprez na Dni Złotoryi, dwa istotne punkty TMZZ: organizację wystawy na temat Kresów wraz prelekcją o działalności Urzędu Bezpieczeństwa na Ziemi Złotoryjskiej oraz otwarte dla wszystkich chętnych zebranie TMZZ w sprawie uroczystości 800 – lecia. **Kinga Maciejak** zawnioskowała, ażeby od firmy reperującej nawierzchnię ulic egzekwowano „robienie po sobie porządku". W odpowiedzi na zgłoszone sprawy Burmistrz oświadczył, że porządek zostanie od firmy wyegzekwowany, kiedy ta zakończy prace całkowicie. Na problemy zgłoszone przez **R. Gorzkowskiego**, Burmistrz odpowiedział następująco: Burmistrzem jest od r. 2002 i w żadnej szafie w U M nie ma żadnych numimatów lub innych kolekcji. Co się tyczy partnerstwa z Dorfen, to ze strony tego miasta nie ma jednoznacznej „dążności i chęci", jak było to np. w przypadku Pulsnitz. Tak jasnej i zdecydowanej odpowiedzi zabrakło w odniesieniu do programu Dni Złotoryi, chociaż R. Gorzkowski dociskał („kto i dlaczego"). Pociechą dla pytającego (i TMZZ) pozostanie więc „precyzyjna" odpowiedź: „Niech TMZZ organizuje i chwała mu za to".

Oświata i wychowanie to materia szczególna; tu „łomem" nic się zrobić nie da. Rodzice oddają szkole to, co mają najcenniejszego (przynajmniej normalni rodzice tak uważać powinni), zaś szkoła od kiedy istnieje, w stosunku do „dzisiejszych" dzieci zawsze (!) posługuje się „wczorajszymi" zasadami, regułami, wzorcami. Z tego „niedoczasu" wszyscy uczestnicy procesu wychowania sprawę zdawać sobie muszą. Tu zawsze potrzebni są wyłącznie uczciwi pomocnicy i partnerzy.

Na temat **stanu oświaty w mieście** radni otrzymali bogaty materiał faktograficzny opracowany przez placówki, a poprzedzony syntetyczno – analitycznym omówieniem **Zbigniewa Wróblewskiego**. W/w, jako główny specjalista ds. oświaty, z upoważnienia Burmistrza, referował powyższy temat. Materiał w całości jest bardzo pozytywny i optymistyczny: „Miasto Złotoryja ma dobrze zorganizowaną sieć placówek oświatowych. Dwie szkoły podstawowe, dwa gimnazja, dwa przedszkola, żłobek z grupami przedszkolnymi w pełni zabezpieczają potrzeby mieszkańców. . ." W odniesieniu do przedszkoli: „Wpłynęło 106 podań więcej niż miejsc, w których są prowadzone klasy „0" i żłobku. W związku z tym /.../ oddziały przedszkolne tzw. klas „0" będą zorganizowane w SP-1 i SP-3. Dzięki temu potrzeby mieszkańców w tym zakresie zostaną zaspokojone". Zorganizowano dowóz dzieci do SP-1 (107) oraz G-1(118). Systematycznie doposażano szkoły w sprzęt i pomoce dydaktyczne (np. pracownie komputerowe). Placówki złotoryjskie „są czyste, estetyczne, zadbane i bezpieczne". Kadra pedagogiczna jest na wysokim poziomie (85,5% - to nauczyciele mianowani i dyplomowani). W latach 2002 – 2007 w placówkach przeprowadzono szeroki zakres prac remontowo-inwestycyjnych. Właściwie funkcjonują świetlice (SP-1, SP-3), nadzorujące stołówki szkolne, w których wydawane są obiady (69 i 58). Z. Wróblewski podkreślił, że „placówki wypracowały ciekawe oferty edukacyjne i każda z nich wnosi coś innego". Wskazał też na szeroką współpracę międzynarodową złotoryjskich placówek, przede wszystkim ze szkołami niemieckimi oraz czeskim Mimoniem. Podsumowując, szef złotoryjskiej oświaty stwierdza; „Właściwa praca naszych nauczycieli, pracowników pod kierunkiem dyrektorów dała oczekiwane rezultaty w konkursach i olimpiadach".

Jako złotoryjanin (i nauczyciel) zauważyłem, że w Złotoryi działają jeszcze inne szkoły, np. Społeczna Szkoła Podstawowa i Dwujęzyczne Gimnazjum Społeczne. Obydwie prowadzi Stowarzyszenie „Uśmiech Dziecka" i obydwie działają w bardzo trudnych warunkach lokalowych przy ul. Wojska Polskiego w budynku po dawnym „Przedszkolu Pietroszkowej" (czyli nr 4). „Starościńskie" placówki to: Liceum Ogólnokształcące, Zespół Szkół Zawodowych oraz Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy, a także (w pewnym zakresie) Zasadnicza Szkoła Zawodowa dla Dorosłych przy ZZDZ. Skoro temat oraz dokument brzmią: „Stan oświaty w mieście", to może „rajcowie miejscy" i „ojcowie miasta" (nie ironizuję!) chcieliby posiąść oficjalną, a nie tylko podwórkową, wiedzę o problemach, które nurtują inne placówki, a które działają także w mieście (niektóre prawie w centrum). Może warto dopuścić szefów tych placówek z krótką pięciominutową informacją?. I te placówki mają swoje ciężko wypracowane i niemałe osiągnięcia. Może przy takich tematach warto zaprosić „starych" (przepraszam) dyrektorów?. Kondycja radnych jest dobra i pół godziny w dobrej sprawie na pewno poświęcą. Tych kilka zdań dopisuję w interesie Czytelników, aby ich wiedza o „stanie oświaty w mieście", przynajmniej ta ogólna, była pełniejsza.

Wystąpienie **Z. Wróblewskiego**, ilustrowane slajdami rozpoczęło małą debatę. „Nie chciał, lecz musiał" rozpocząć ją **R. Gorzkowski,** przewodniczący KOK i KF. Podkreślił na wstępie (to zebrani szybko zapomnieli), że cieszą go osiągnięcia placówek, lecz skoncentrował się na tym, co należałoby jeszcze zrobić. A referował nie „z rękawa", tylko na podstawie ustaleń komisji z udziałem dyrektorów (z dn. 9 V, a więc sprzed 6 dni). Tylko radna **Lilia Wolańska** przypomniała zebranym ten „detal". Z tego spotkania przeniósł na forum R M niepokój o miejsca w przedszkolach, problemy związane z dziećmi spoza obwodów (konkretnie z Gminy Wiejskiej), troskę o remonty i nieco sarkastycznie swoje obawy, co do dalszego łączenia placówek („oczekuję kolejnych sukcesów w postaci połączenia obu szkół podstawowych i obu gimnazjów").

Radny **Józef Banaszek** ubolewał z powodu nikłego udziału zakładów pracy, lecz przede wszystkim szkół, dzieci i nauczycieli w obchodach majowych. Krytycznie odniósł się do efektów wychowania patriotycznego: „Szkoła to nie tylko meble, lecz i sposób wychowania".

Zasad demokracji musimy uczyć się wszyscy. Ta forma rządzenia wyzwala spory, a nawet konflikty. Musimy mieć tego świadomość, lecz spierać należy się w sprawie, a nie personalnie. Tymczasem dwa ostatnie wystąpienia wyzwoliły coś na wzór „krótkiej rozprawy między panem, wójtem, a plebanem". A przecież dobrym prawem władzy wtedy jest pochwalić się dorobkiem, który przecież jest widoczny i takie samo prawo wskazania, co nam jeszcze do zrobienia pozostało – ma opozycja. Wyliczanie sobie, kto dłużej był „przy władzy" (I. Żurawski, Z. Wróblewski, czy R. Gorzkowski) mogło uciszyć jedynie prześmiewców i szyderców. Jasne, że najkrócej „przy władzy" był ma burmistrz **I. Żurawski** (od 2002) i że jest to dla oświaty okres pomyślny (stały istotny wzrost wydatków). Nigdy oświata nie miała takiej finansowej przychylności władz. A to w powiązaniu z głębokim niżem winno skutkować wypraco waniem już dzisiaj takich rozwiązań, które spowodują, iż pierwsi przedstawiciele lekkiego wyżu, którzy zapukali do drzwi przedszkoli, nie tylko znajdą miejsce w nieprzepełnionej klasie, ale że będzie to miejsce nowoczesne i bezpieczne (Burmistrz przyrzekł monitoring we wszystkich placówkach).

Głos zabrał także radny **Leszek Antonowicz**: „Jest dobrze, a będzie jeszcze lepiej" (budowa boiska za ul. Szczęśliwą, rozbudowa sali SP-1); dodał jednak, że jest „jeszcze wiele do zrobienia". Do „krzywdzących słów przewodniczącego **R. Gorzkowskiego**" odniósł się też burmistrz **I. Żurawski**. Oświadczył, że miejsc w przedszkolach nie zabraknie, „dzieci nie cierpią z powodu sporu z gminą", lecz miasto musi żądać ekwiwalentu za dziecko spoza obwodu; od roku 2002 nastąpił ponad 1000% wzrost wydatków na oświatę, a dalszych wzrostów budżet nie wytrzyma, nie ma problemu z dowożeniem dzieci. Polemizował także z radnym **J. Banaszkiem** w sprawie „wychowania patriotycznego" i podziękował szkołom za udział i pomoc w organizowaniu działań o charakterze patriotycznym.

20 lat temu Złotoryja, ze wszystkich miast byłego województwa legnickiego, miała największe zagęszczenie w szkołach podstawowych i drugie co do wielkości zagęszczenie w przedszkolach. Wszystkie 3 podstawówki pracowały na dwie zmiany, a „trójka"- nawet na trzy. Stąd budowa „nowej trójki" z halą (od1987) oraz siódmego przedszkola (1988). Szkoły wręcz wypychały „nie swoje" dziecko; teraz toczą bój o każdą „duszę", a 30 pomieszczeń klasowych przy ul. Kolejowej 14 świeci pustką.

Za zgodą radnych głos zabrali także dwaj dyrektorzy (Bożena Kraska – SP1, Andrzej Skowroński – G1), którzy podzielili punkt widzenia Burmistrza.

Następny punkt sesji – **Legnicka Specjalna Strefa Ekonomiczna** – nie wyzwoliła już tyle emocji. Posługując się m.in. środkami wizualnymi, **Burmistrz** omówił węzłowe sprawy tego problemu. Dotąd w strefie usadowiły się firmy niemieckie (Kühnl Aksys), belgijska (EFC S.A) oraz polskie (Bazalt, Wilena, PTB). Ok. 17 ha czeka jeszcze na interesantów.

Radni prosili o uszczegółowienie niektórych problemów. **Barbara Listwan** dociekała jak skojarzony zostanie dojazd do LSSE z uwzględnieniem obwodnicy, która jednak ma powstać – i kiedy. Burmistrz **I. Żurawski**: Kształt obwodnicy nawiązuje do koncepcji wcześniejszych (m. in. z r. 2000), które zakładają jej początek w okolicach przejazdu kolejowego. Do obwodnicy będą dwa włączenia od strony miasta; przez miasto żaden pojazd do (ze) strefy nie pojedzie. Jeśli chodzi o czas to realnym może być rok 2010 jako rozpoczęcie prac. Na temat przebiegu linii „22" odbędą się stosowne rozmowy – pytał o to **I. Matecki.**

Burmistrz przedstawił także zmierzenia w zakresie etapowania prac przy renowacji „starówki". W tym kontekście postawiono pytania dotyczące ul. Basztowej (J. Banaszek, I. Matecki, R. Gorzkowski, W. Żak). Burmistrz „ma nadzieję, że ul. Basztowa będzie wyglądała pięknie, lecz rewolucji nie będzie". A będzie: zmieniona nawierzchnia na granitową i przy okazji przełożona kanalizacja wodna, zieleń, stojące lampy, wyłączona z ruchu kołowego.

Na zakończenie radni przyjęli pięć uchwał, w tym w sprawie:

- zmian w budżecie
- zaciągnięcia pożyczki z WFOŚ i GW (63.400 zł.)
- zaciągnięcia kredytu na pokrycie deficytu budżetowego (1,5mln)
- wyznaczenia Ireneusza Żurawskiego jako reprezentanta Gminy Miejskiej w Radzie Nadzorczej LSSE S.A.
- zezwolenia na utworzenie i działanie obiektu handlowego Lidl Polska Sp. z o.o. (lokalizacja: dawne barakowe pomieszczenia PZU na skrzyżowaniu ulicy B. Krzywoustego z J. Słowackiego; zatrudnienie: 20 osób).

Wszystkie uchwały, po niezbędnych wyjaśnieniach, radni przyjęli jednogłośnie.

Alfred Michler

Rada Powiatu

Jan Kotylak, przewodniczący Rady Powiatu zwołał na dzień 25 kwietnia 2008, XIX sesję rady. W posiedzeniu udział wzięli wszyscy radni (17), w tym starosta oraz wicestarosta: **Ryszard Raszkiewicz** i **Józef Sudol**. Jest to więc sytuacja inna niż w przypadku Rady Miejskiej i Rady Gminy. Wg obowiązującej dotąd (słyszy się o propozycjach zmian) ordynacji wyborczej starosta jest wyłaniany nie w wyborach bezpośrednich (jak burmistrz i wójt), lecz spośród radnych.

Porządek obrad przewidywał 9 punktów w tym tzw. stałe, jak np. informacja Zarządu Powiatu o działalności między sesjami (w tym z realizacji podjętych uprzednio uchwał), interpelacje radnych oraz odpowiedzi na nie, a także podejmowanie uchwał. Dwa tematy były wiodącymi: sprawozdanie z wykonania budżetu za rok 2007 oraz aktualna sytuacja w ZOZ Złotoryja (ten problem stał się praktycznie stałym punktem każdej sesji).

Informację o **aktualnej sytuacji w ZOZ** przygotował dyr. **Bogusław Radzki** oraz jego zastępczyni **Teresa Dziewiecka**. Wynika z niej, że aktualne zatrudnienie (na koniec marca 2008) wynosi 298 pracowników. Na ten okres jednostka wykazuje ujemny wynik finansowy, na czym zaważyły przede wszystkim: wynagrodzenia oraz materiały i energia. Złotoryjski ZOZ podjął działania w celu pozyskania nowych źródeł przychodu; mają go zapewnić m. in.: wynegocjowana z NFZ wyższa kwota w porównaniu z rokiem ubiegłym (o ponad 1,2 mln zł), uruchomienie specjalistycznej poradni kardiologicznej oraz uruchomienie nowych sal na oddziale dla przewlekle chorych.

Na ten temat wypowiedział się jeszcze dodatkowo dyr. **B. Radzki** informując, że złotoryjski szpital otrzymał certyfikat ISO.

Sprawozdanie z wykonania budżetu za rok 2007 przedstawił starosta R. Raszkiewicz. W analizie wskazano, że dochody budżetowe zamknęły się kwotą 37.599.123 zł. Niestety wydatki były wyższe, stąd deficyt wyniósł 3.958.289 zł. Połowę dochodów zaplanowano na transport i łączność (ponad 18 mln 800 tys.zł). Drugą, co do wielkości, kwotę stanowi oświata i wychowanie (prawie 13 mln zł). Spore kwoty przeznaczono na pozaszkolne publiczne i ochronę p/poż. (prawie 3,8 mln zł). Dochody zrealizowano na poziomie 86,43% - nie wpłynęły wszystkie środki unijne. Wzrosły też wydatki przeznaczone na utrzymanie dzieci w rodzinach zastępczych oraz placówkach oświatowo – wychowawczych. Zamierzeniem na kolejne lata będzie podejmowanie działań „wzmacniających konkurencyjność naszego powiatu".

Dodatkowym elementem sprawozdania z realizacji budżetu była informacja multimedialna na temat wykorzystania środków finansowych na inwestycje przez samorządy powiatowe Dolnego Śląska w latach 2004 – 07, przygotowana przez wicestarostę J. Sudoła.

W sprawach budżetu wypowiedzieli się między innymi: radny **Krzysztof Maciejak, Edward Janiec, Wanda Grabos.**

Radni, po zapoznaniu się z pozytywnymi opiniami Regionalnej Izby Obrachunkowej we Wrocławiu oraz na wniosek Komisji Rewizyjnej Rady Powiatu udzielili Zarządowi Powiatu absolutorium za rok 2007 podejmując uchwałę w tej sprawie.

Podjęli też jedną uchwałę „pokrewną" zmieniającą dochody i wydatki na r. 2008. oraz dwie uchwały dot. Domów Dziecka w Wilkowie – Osiedlu oraz w Wojcieszowie.

Słowniczek

Powiat: Pierwowzorem powiatu w pradawnej Polsce było o p o l e. Zaś źródłosłów samego pojęcia znajdziemy w w i e c u. W dawnej Polsce powiat stanowił część województwa. W czasach Rzeczypospolitej szlacheckiej przez powiat rozumiano obszar władzy starościńskiej (np. podatki, sądownictwo). Powiat mógł mieć oddzielne sejmiki i oddzielne sądy (grodzkie). Pojęcie powiatu tożsame było z z i e m i ą. Podział na powiaty utrzymał się w zaborze rosyjskim. W okresie międzywojennym (1918 – 39) powiat był jednostką terytorialną składająca się z gromad i gmin, a powiaty tworzyły województwo.

Po II wojnie światowej powiaty istniały do 1975 roku. w ich miejsce tzw. gierkowska reforma administracyjna wprowadziła dwustopniowy podział administracyjny: gmina i województwo (aż 49 w miejsce 17.). Kolejna reforma (1999) przywróciła powiaty oraz do 16 zredukowała liczbę województw. W czasach pruskich i niemieckich Złotoryja również była siedzibą powiatu (do 1932 także Świerzawa). Ażeby złagodzić animozje między Złotoryją a Chojnowem i zaspokoić aspiracje chojnowian powiat oficjalnie nazywał się złotoryjsko – chojnowskim. Przed wyborami 1998 na zebraniu zorganizowanym przez TMZZ dla wszystkich „sił politycznych" proponowałem skorzystanie z wariantu złotoryjsko – chojnowskiego, co – być może – zatrzymałoby Chojnów w naszym powiecie. Lokalni politycy byli jednak wówczas bardziej zajęci kształtem list wyborczych, niż kształtem powiatu

Informację z sesji przygotowałem na podstawie materiałów sesyjnych oraz informacji Doroty Fałęckiej.

Alfred Michler

ZŁTORYJA I POWIAT ZŁOTORYJSKI JAKO ATRAKCJA TURYSTYCZNA

Monika Wnęk - Gimnazjum nr 1 w Złotoryi - I miejsce

Uroczystość podsumowania konkursu „Złotoryja i okolice jako atrakcja turystyczna" odbyła się 16. maja 2008 w Gimnazjum nr 1 w Złotoryi. Swą obecnością zaszczycił nas pan Ryszard Raszkiewicz, starosta powiatu, prezes TMZZ Aleksander Borys, Alfred Michler, redaktor naczelny Echa Złotoryi Robert Pawłowski oraz laureaci z ich opiekunami.

W konkursie wzięło udział 11 szkół powiatu złotoryjskiego. Nagrodzone prace oceniane były przez redakcję Echa Złotoryi w kategoriach wiekowych: do 13 lat, do 16 lat i powyżej 16 lat. W gimnazjalnym holu prace prześcigały się swoistą wizją zabytków, kopalni, Wilczej Góry, miasta i okolic; różnorodną gamą barw. Technika wykonywanych prac zaskakiwała pomysłowością. Była to iście malarska uczta dla oczu.
„Złotoryja i okolice widziane waszymi oczami są piękne i zawsze chciałoby się tu mieszkać"- powiedział Pan starosta

Część artystyczną rozpoczęliśmy poważnym akcentem. Hymn Sybiraka odśpiewała młodzież.Zanim Złotoryja stała się tak piękna, musiało upłynąć dużo czasu. Często losy złotoryjan związane były z wywózkami na Sybir. Symbolem takiej wywózki był wagon bydlęcy stojący na scenie. Obok stał krzyż brzozowy, który niejednokrotnie towarzyszył tragicznym losom wypędzonych Polaków.
Tragizm tamtych chwil przedstawiła uczennica Agnieszka Gorgolewska przybliżając treść opowiadania, które zawierało zebrane wspomnienia Sybiraków. Dodatkowo uczniowie Radek Blok i Przemek Lorek zaprezentowali film przedstawiający tamten okres. To były smutne wspomnienia. Wielu Polaków przemierzając tysiące kilometrów w końcu osiadło w Złotoryi, by żyć w pokoju i tworzyć nową historię. W dalszej części programu , w autorskich wierszach i piosence, artyści przedstawili walory dzisiejszego miasteczka.
Młodzież Gimnazjum nr 1 czynnie uczestniczy w rajdach i konkursach i współpracuje z TMZZ.
„Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej od 21 lat związane jest z historią miasta, którą przybliża młodzieży poprzez konkursy historyczne, rajdy Szlakiem Źródlanym, Szlakiem Świątyń Jadwiżańskich i wystawy w swojej siedzibie" - wspomniał prezes TMZZ Aleksander Borys.
Dzisiejsze spotkanie było okazją do wręczenia Odznak Jadwiżańskich.
Pan Alfred Michler - organizator i pomysłodawca ścieżek, wręczył Srebrną odznakę pani Paulinie Chaim oraz uczennicy Magdzie Hupental. Brązową odznakę odebrał Krzysztof Kominiak, Wojciech Korczyński, Agnieszka Hupental.
W drugiej części uroczystości zostały rozdane dyplomy i nagrody, które wręczyła dyrekcja szkoły: Andrzej Skowroński i Barbara Bernasiewicz.

Barbara Matusz - Gimnazjum nr 1 w Złotoryi - III miejsce

W kategorii do 13 lat

wyróżnienia otrzymali:
1. Hubert Bycio – ze szkoły podstawowej w Sokołowcu
2. Małgorzata Chęcińska – ze szkoły podstawowej w Gierałtowcu
3. Dawid Cieśla - ze szkoły podstawowej w Brochocinie

Drugie miejsce zajęły:
1. Maja Kęska – ze S P nr 3
2. Sonia Szczepanowska– ze SP nr 3
3. Anna Lesiak – ze SP nr 3

Pierwsze miejsce, zajęły:
1. Marika Tylza– z Zespołu Szkolno-Przedszkolnego w Świerzawie
2. Dominika Ludynia – ze SP w Twardocicach

W kategorii do 16 lat wyróżnienia otrzymały:
1. Natalia Puchajska - z Gimn. w Pielgrzymce
2. Katarzyna Bach - z Gimn. w Wilkowie
3. Agnieszka Gorgolewska-z Gim nr 1 w Złotoryi
4. Maciej Cwynar - z Gim nr 1 w Złotoryi
5. Dominik Hamara - z Gim nr 1 w Złotoryi

Trzecie miejsce zajęli:
1. Patrycja Lach - z Gimn. Zagrodno
2. Michał Stępień -z Gimn. nr 2 w Złotoryi
3. Magda Rokita -z Gimn. nr 2 w Złotoryi
4. Nikola Madeja - z Gimn. nr 1 w Złotoryi
5. Barbara Matusz – z Gimn. nr 1 w Złotoryi

Drugie miejsce zajęli:
1. Dawid Kabanow – z Gimn. nr 2 w Złototyi
2. Karolina Rybicka– z Gimn. nr 1 w Złotoryi

Pierwsze miejsce zajęła:
Monika Wnęk -z Gimn. nr 1 w Złotoryi

W kategorii powyżej 16 lat pierwsze miejsce zajęły:

Żaneta Kowalska z ZSZ Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego

Aneta Pielak z ZSZ Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego

W późniejszym czasie prace zostaną wystawione w Hali Sportowej przy ulicy Wilczej i w Złotoryjskim Ośrodku Kultury i Rekreacji a we wrześniu zostanie otwarta wystawa prac w siedzibie Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej.
Dodatkowo prace będą cyklicznie prezentowane w miesięczniku Echo Złotoryi.

Na zakończenie pan Ryszard Raszkiewicz podziękował dyrektorowi Andrzejowi Skowrońskiemu i prezesowi TMZZ Aleksandrowi Borysowi za wspaniały pomysł i udaną organizację uroczystości,
„ Oby takich było więcej" – dodał pan Starosta.

Dawid Kabanow - Gimnazjum nr 2 w Złotoryi - II miejsce

Za chwilę z opiekunką robiły zdjęcie przy galerii z obrazami.

Prezes TMZZ Aleksander Borys
J.K.:
- Jakie są Pana wrażenia z uroczystości?
A.B.:
- Wzruszyłem się, te sceny z Syberii, hymn, wiersze autorskie, przepiękne prace plastyczne, to wszystko było interesujące –odpowiedział.

Basia Matusz jest uczennicą trzeciej klasy Gimnazjum nr 1. Jej rysunki zdobią szkolne ściany. Zajęła trzecie miejsce w konkursie.
J.K.:
Basiu, od kiedy malujesz z pasją?
B.M.:
Od zawsze malowałam, to hobby i przyjemność. Skupiam się na przedmiotach, które mnie interesują, a potem je przetwarzam na papierze- kredką lub pędzlem.
J.K.:
Czy miałaś już osiągnięcia?
B.M.:
W konkursie szopek noworocznych zdobyłam w Legnicy pierwsze miejsce.

Moje prace zajmowały kilka razy w innych konkursach czołowe miejsca. Ale to były sukcesy lokalne.
J.K.:
Kończysz trzecią klasę, Czy wybierasz się do liceum o profilu artystycznym?
B.M.:
Nie, marzę o studiach medycznych, a malowanie to tylko hobby. Wybieram się do ogólniaka i na studia, to są moje plany, a czas pokaże, jak się ułożą.

Uroczystość byłaby uboższa, gdyby nie sponsorzy.

Urząd miasta, Urząd Gminy Złotoryja, Starostwo Powiatu, Bank Spółdzielczy w Złotoryi, TMZZ, państwo Baran, pani Kalisz, pan Okręglicki ze sklepu „Meta", państwo Sarnowie, pani Stańczyk ze sklepu „Nastolatka", państwo Zwierzyńscy.

Zaangażowani uczniowie byli pełni poświęcenia, w wielu sytuacjach można było na nich liczyć. Podczas oglądania prac plastycznych, podziwialiśmy prywatną kolekcję agatów i innych minerałów Rafała Segdy, ucznia Gimnazjum nr 1 w Złotoryi. Na pomysł konkursu wpadły i całe przedsięwzięcie przygotowały Anna Majewska, Paulina Chaim i Jana Kałuża.

Swoje spostrzeżenia przedstawiła
Jana Kałuża

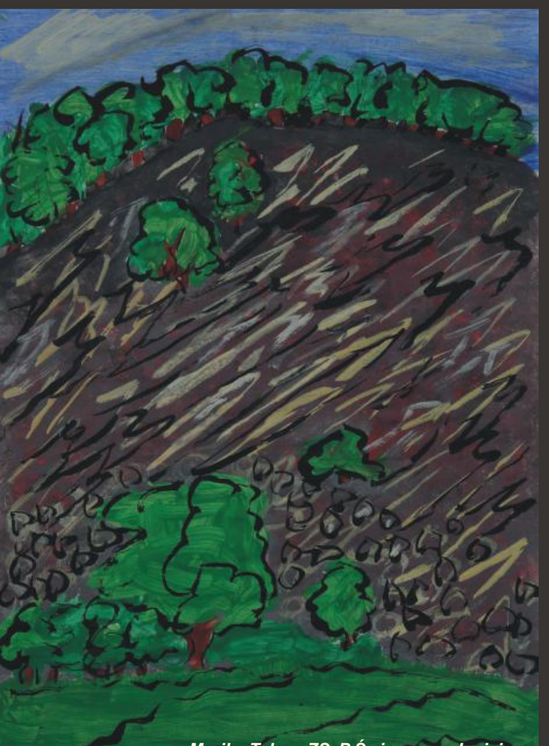

Marika Tylza - ZSzP Świerzawa - I miejsce

Karolina Rybicka - Gimnazjum nr 1 w Złotoryi - II miejsce

Po wręczeniu nagród wszyscy zaproszeni zostali na poczęstunek i zwiedzanie galerii.

Laureatka pierwszej nagrody Marika Tylza
J.K.:
–Marika czy opłacał się trud? Namalowałaś Organy Wielisławskie.
M.T.:
O tak, podobają mi się nagrody, dyplom zawieszę w pokoju na ścianie, słownik geograficzny bardzo mi się przyda.
J.K.:
A cieszysz się z pendrive'a?
M.T.:

Ojej, wreszcie będę miała swój własny, dziękuję! - odpowiedziała dziewczynka z uśmiechem na twarzy.

Michał Stępień - Gimnazjum nr 2 w Złotoryi - III miejsce

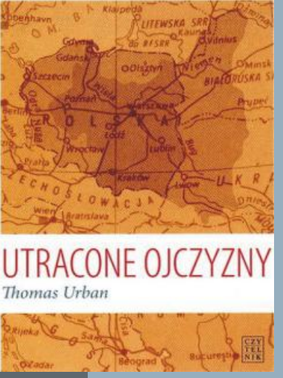

Wiele narodów ma swoich wypędzonych

Motto:
„Nie ma dobrych czy złych narodów, są tylko dobre i złe czyny".
Jan Paweł II

Wartościowa pozycja

W bibliotece uniwersyteckiej w Opolu miałem możliwość wypożyczenia interesującej i wartościowej książki. Jej polski tytuł brzmi: „Utracone ojczyzny", a wydał ją w roku 2007 „Czytelnik". Tytuł oryginału: „Der Verlust. Die Vertreibung der Deutschen und Polen im XX. Jahrhundert". Autor wykorzystał łącznie 67 istotnych pozycji bibliograficznych, w tym 29 polskich. Zawartość „Utracony ch ojczyzn" była dla mnie na tyle interesująca, iż „pochłonąłem je" w szybkim tempie oraz na tyle wartościowa, że chciałbym podzielić się tym z czytelnikami „EZ" (żadna ze złotoryjskich bibliotek (jeszcze ?) tej książki nie ma").

Autor Thomas Urban , ur. 1954, był wieloletnim korespondentem „Süddeutsche Zeitung" w Warszawie i Kijowie. Zna Wrocław – tu uczestniczył w kursie języka polskiego dla obcokrajowców i był słuchaczem prof. Jana Miodka. Rodzice pochodzili z Wrocławia; nie należeli do NSDAP – Breslau musieli opuścić po wojnie.

Główny adresat

książki to Niemcy. W sumie jest ona, a właściwie mogłaby być (a nawet powinna) dobrym przyczynkiem do toczącej się aktualnie dyskusji na temat losów Polaków i Niemców po II wojnie. Nie wiem tylko, czy politycy po obu stronach Odry i Nysy zechcieliby nieco się dokształcić i wziąć do ręki tę książkę. (Myśli i uwagi autora artykułu podano pochyłonym drukiem).

Już we wstępie T. Urban wyraźnie pisze, iż chce przekonać swoich rodaków, i pokazuje im to wprost, że wypędzenia to przekleństwo, które dotknęło nie tylko Niemców. I nie ukrywa też, że wypędzenia Polaków są jego rodakom prawie w ogóle nieznane. Do największych zalet tej książki należy to właśnie, że autor nie ukrywa (a właściwie odkrywa) przed niemieckim czytelnikiem ogrom cierpień zadanych polskim wypędzonym przez niemieckich wysiedlających. Wielu czytelników, a głównie pewnie Niemców, zdziwi to, iż Urban skrupulatnie wyliczył, że Polska przed, w trakcie i po II wojnie (między rokiem 1936 a 1956) była areną największych przesunięć ludności – autor wskazuje na 22 przykłady znacznych przemieszczeń ludności polskiego, ukraińskiego, żydowskiego i niemieckiego pochodzenia. A w stosownym fragmencie książki pointuje : „Nikt chyba nie wątpi , że wypędzenia po II wojnie światowej były skutkiem niemieckiej agresji i wojny eksterminacyjnej w Europie Wschodniej".

Ale początek dał Bismarck

Autor nie ograniczył się tylko do wymienionego wyżej dwudziestolecia, lecz cofnął się do czasów „ żelaznego kanclerza". Tenże, w roku 1861, jeszcze jako ambasador Prus w Petersburgu, pisał do swojej siostry Malwiny: „Bijcie w Polaków, aby ich ochota do życia odeszła. . ." Jako kanclerz nie wprowadził tych słów w życie, jednak to on właśnie, doprowadził do tego, że Prusy musiały opuścić tysiące imigrantów, którzy nie mieli obywatelstwa pruskiego. W tym trybie z Prus, tylko w latach 1885 – 87, wyrugowano ok. 30 tysięcy Polaków.

Z okresu międzywojennego T. Urban wyłowił także niezbyt miłą Polakom perełkę w postaci oświadczenia ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego, Stanisława Grabskiego : „Obcy element musi się zastanowić, czy gdzie indziej nie będzie mu lepiej . Polska jest tylko dla Polaków". (*Czy nie takim językiem przemawiał w marcu 1968 tow. „Wiesław" – Władysław Gomułka*?). Wywleka jednak na powierzchnię i wyjaśnia Niemcom (w Polsce jest to chyba znane), że tzw. Akcja Polska z roku 1939 przeprowadzona „zręcznie" przez nazistów polegała na wydaleniu z Niemiec kilkunastu tysięcy Żydów, którzy byli obywatelami Polski. Ofiarą tej akcji padł wówczas m. in. Marcel Reich – Ranicki, jeden z wybitnych krytyków literackich *(obecnie znowu mieszka w Niemczech i jest bardzo częstym gościem w niemieckich środkach masowego przekazu).*

Hitlerowcy i stalinowcy

Zadrą na sumieniu wielu Niemców jest dopuszczenie do władzy i ulokowanie na samym jej szczycie człowieka obłąkanego, z jego zbrodniczą teorią, który oczywiście nie mógł stworzyć innego systemu niż on sam. Wypędzenia Niemców po II wojnie były karą zbiorową za faszyzm i rozpętanie wojny. Urban pyta jednak – jak mierzyć winę ludności cywilnej, starców, kobiet i dzieci ? Na Hitlera w r. 1933 głosowało (*aż ? tylko ?)* 40% Niemców, lecz 60 % na NSDAP nie głosowało. Urban pyta o dzieci, które przecież w ogóle nie głosowały. *Łatwej i gładkiej odpowiedzi nie znajdziemy*. Zmorą uczciwych Niemców jest „biesiada", przy jednym stole, hitlerowców i stalinowców zakończona haniebnym traktatem Ribbentrop – Mołotow (23 VIII 1939). Bardzo mocno, wręcz brutalnie, brzmią te fragmenty książki, które przedstawiają sytuację Polaków niemal nazajutrz po pakcie. Opisuje los Polaków na terenach włączonych do Rzeszy – niewolnicza praca dla Rzeszy, zabieranie majątków, deportacja, śmierć. W Kraju Warty wywłaszczono wszystkie polskie gospodarstwa i firmy. Urban stwierdza, że na tym obszarze policja była nawet brutalniejsza niż w Generalnej Guberni.

Przed 15. laty były właściciel Prusic Górnych (Prof. dr Lüttichau); w liście do mnie napisał: „Niegdyś, po poprzednich wojnach, jeżeli mieszkańcy przeżyli, pozostawali na swoich miejscach; zmieniali im się tylko jedynie panujący. Dopiero Hitler i Stalin rozpoczęli wypędzanie ludności ze swoich ojczyzn".

Drastyczne opisy wysiedleń Polaków nie zostały również pominięte – bydlęce wagony, zamarzanie zimą 1939 w oczekiwaniu na przejazd. Powołując się na bibliografię, wymienioną na wstępie, Urban ustalił liczbę wypędzonych Polaków z obszarów anektowanych na około 925 tysięcy osób, z których 630 tysięcy przypada na Kraj Warty.

Bezkompromisowo Urban przedstawił tragedię dzieci Zamojszczyzny, odebranych rodzicom dla umocnienia „ rasy nordyckiej". Jeśli będziemy mówić o kilkunastu tysiącach takich ofiar, nie będziemy dalecy od prawdy. Niemiecki czytelnik dowie się też z książki Urbana o kolejnym planie nazistów, który miał polegać na „odżydzeniu Generalnej Guberni", a następnie wysiedleniu ok. 20 mln Polaków na Syberię.

Także ofiary wojny

Pierwsza część książki uwiera bardziej czytelnika niemieckiego - druga natomiast każe „posprzątać" i uporządkować polski punkt widzenia. Nawet z własnych kontaktów - TMZZ z Goldbergerami wiemy, że oni sami oraz ich potomkowie w większości nie kwestionują już dzisiaj, iż ich wypędzenie było skutkiem polityki hitlerowców i wywołanej przez nich wojny. Domagają się jednak, ażeby ich (tzn. wypędzonych) także uznać za ofiary tej wojny. W tym fragmencie Urban przedstawia krzywdy, które spotkały po wojnie Niemców podczas dzikich, a także zorganizowanych wysiedleń. Są opisy gwałtów na kobietach oraz zmuszania ich do prostytucji; mowa jest o przymuszaniu mężczyzn do darmowej ciężkiej pracy, o fatalnych warunkach w czasie transportu, o śmiertelnych wypadkach z głodu, zimna i chorób, o masowych rabunkach. Nie zataił prawdy o obozie dla Niemców w Łambinowicach lub „Zgoda"- tu masowo umierali i byli zabijani ludzie. Wrażenie robią liczby wypędzonej ludności niemieckiej; według źródeł polskich – 3,6 mln; wg niemieckich – ponad 5 mln. Trudno będzie czytelnikowi polskiemu przyjąć tezę o powszechnej akceptacji dla odwetu dokonywanego na Niemcach.Urban powołuje się też na zapiski oficera niemieckiego, że popełniane przez Niemców czyny (m. in. przez pogromcę Powstania Warszawskiego, o pięknym polskim nazwisku Bach – Zelewski) „obudzą mszczącą Nemezis i staną się nieszczęściem narodu niemieckiego."

Poczdam zalecał przemieszczenie ludności niemieckiej do Niemiec w sposób uporządkowany i humanitarny oraz według planu, ale Polacy nie chcieli tak długo czekać. Wartość i moc decyzji „wielkiej trójki" obniżają fakty dokonane, tworzone przez stronę polską. Np. wojewoda śląski, Aleksander Zawadzki, 29 I 1945r., a więc jeszcze przed Jałtą, wydał zarządzenie, zgodnie z którym wszystkie gospodarstwa chłopskie przeszły na własność państwa polskiego, którego granic wówczas jeszcze jednoznacznie nie określono. Natomiast dekret z 2 III 1945 (tuż po Jałcie ale przed Poczdamem) odbierał Niemcom na tzw. Ziemiach Odzyskanych cały ich majątek. Autor cytuje kongresmena USA: „ Nie do wiary, po tym, co wiemy o zbrodniach nazistów, że ludzie mszczą się na innych ludziach w ten sposób". Powołuje się na Churchilla, który był oczywiście za przesiedleniami, lecz protestował przeciw sposobowi ich dokonywania. Znamiennie brzmi też głos ówczesnego biskupa katowickiego, Stanisława Adamskiego, który też nie był przeciwnikiem przesiedleń ale złożył protest u władz polskich: „Metody wysiedlania w wielu przypadkach, jak się przekonałem, są straszliwe i kompromitujące Polskę i władze polskie wobec zagranicy". Wygląda na to, że polskie władze stosowały się do wskazań generalissimusa Stalina: „ Niemcy muszą znaleźć się w takiej sytuacji, że dobrowolnie zrezygnują z pozostania w ojczyźnie". Negatywną ocenę pogłębiały systematyczne plądrowania czerwonoarmistów oraz „zorganizowanych band z Polski centralnej". Doszło do tego, że wicepremier, a jednocześnie minister Ziem Odzyskanych, Władysław Gomułka, musiał wydać zakaz wywożenia mebli ze Śląska.

Ze Złotoryi, z Kościoła Mariackiego, też zniknęły w nieznanych okolicznościach, np. cenne organy oraz ostatni z dzwonów. To już nie wina „szwabów" lub „ruskich" – klucze od świątyni miały już wtedy wyłącznie polskie władze Złotoryi. Dzwon odnaleźliśmy w prawosławnej parafii w Królowym Moście (za Białymstokiem). I nie wiadomo, czy w roku 1952 dzwon ten ówcześni złotoryjscy „ojcowie miasta"(?) przehandlowali, przekazali. . . Być może jest to pokłosie walki ówczesnych władz Polski z Kościołem Rzymskokatolickim.

Bardzo złe wrażenie w świecie zrobił fakt, że ówczesne władze polskie nie dopuściły do obozów w Łambinowicach i „Zgodzie" przedstawicieli Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i dopiero w czerwcu 1946 zezwoliły na otwarcie jego biura w Warszwie.

Bardzo sprytnie przeprowadzano weryfikację autochtonów – szczególnie na Śląsku. Wspomniany już wcześniej wojewoda śląski, Aleksander Zawadzki, zabiegał o to, ażeby Ślązakom przyznać jedynie niepełne prawa obywatelskie. *Praktycznie zostało to wprowadzone w życie, gdyż bardzo długo na Górnym Śląsku i Opolszczyźnie autochton mógł być co najwyżej zastępcą szefa. Kuriozalną, prawie groteskową, ilustracją tej sprawy, jest sytuacja, która zdarzyła się w mojej prastarej śląskiej rodzinie na Opolszczyźnie. Otóż wżenił się w nią Kresowianin z podlwowskiej wsi Pustomyty. Zdołał tam ukończyć zaledwie jedną klasę podstawówki i ... „poszedł na Zachód". Tu, w krapkowickich zakładach papierniczych chciał się zatrudnić jako najzwyklejszy pracownik fizyczny. Chciano go jednak na siłę zrobić kierownikiem oddziału (byle nie Ślązak), bowiem nie dano wiary temu, że ukończył tylko jedną klasę – nie uwierzono, aby absolwent pierwszej klasy „potrafił tak ładnie mówić po polsku." Wmawiano mu 11 klas! Zagrożono mu więzieniem, ponieważ jako sabotażysta nie chce swoich wysokich kwalifikacji oddać na usługi ludowej ojczyzny.*

Kresy

Thomas Urban nie pominął także niezmiernie skomplikowanej sytuacji na Kresach. Zwrócił uwagę na swego rodzaju klincz, w jakim znaleźli się tam Polacy, Niemcy, Ukraińcy i Rosjanie. Wśród Polaków i Rosjan wyróżnił jeszcze tzw. dwojaków, którymi po stronie polskiej byli akowcy (AK) i aelowcy (AL), zaś po stronie rosyjskiej komunistyczni partyzanci oraz kozacy związani z Vehrmachtem.

Dużo miejsca poświęcił Urban akcji „Wisła" (1947). Podaje precyzyjną liczbę 140.575 Ukraińców przesiedlonych na Zachód. Uznaje także, że konflikt obecnych polskich nacjonalistów z grekokatolikami nadal nie wygasł, a za oznakę tego uznaje ostry spór o katedrę w Przemyślu. Nie był go w stanie zażegnać nawet Jan Paweł II i miał to uznać za „jedno z większych niepowodzeń swojego potyfikatu". *Być może było tak istotnie, gdyż właśnie papież Polak stale i wszędzie nawoływał do pojednania. Jak trudno o takie pojednanie, przekonujemy się prawie na każdym kroku. Kiedy w r. 2001 przygotowywaliśmy Izbę Kresową, jedna ze złotoryjskich Kresowianek powiesiła koszulkę ze wzorami ukraińskimi. Kiedy zobaczyła to inna, oświadczyła: „Jak długo tu będzie, moja noga tu nie postanie".*

Wołyń – powołując się na polskie dane Urban przytacza kolejne budzące grozę i zadumę liczby. Po stronie Polaków to 60 tys. zamordowanych i ok. 306 tys. wypędzonych; Polacy mieli zamordować 20 tys. Ukraińców.

„Miejsce polskiej dumy i niemieckiej hańby"

Poczesne miejsce w książce Urbana zajmują kanclerze Niemiec w kontekście ich polityki wobec Polski. Era (1949 – 63) Konrada Adenauera „była nacechowana /.../ wypieraniem ze świadomości własnej winy" za II wojnę. Miało to m. in. taki skutek, że Polacy byli postrzegani głównie nie jako ofiary wojny, lecz jako naród, który wygnał Niemców z ich siedzib. Później Adenauer „zmiękł" ale protokoły z rozmów w tej sprawie opublikowano dopiero po 30. latach (1987). *Ówczesna polska prasa najchętniej prezentowała go odzianego w płaszcz krzyżacki. Władysław Gomułka, straszył nim Polaków (teraz robi to prezydent Lech Kaczyński z Erika Steinbach, podpuszczany przez Jacka Kurskiego).*

Willy Brandt kanclerzem został w 1969. Rok później przyjechał z wizytą do Polski. Kiedy stanął przed pomnikiem Ofiar Getta Warszawskiego – ukląkł. Zdjęcie obiegło cały świat, a w Niemczech wywołało burzę – nawet wśród polityków SPD (niektórzy przeszli do CDU, np. H. Hupka). W Bundestagu zgłoszono wobec Brandta konstruktywne votum nieufności, które nie powiodło się m. in.dlatego, że Stasi miało przekupić co najmniej jednego posła CDU! Za ten gest, a także za próby normalizacji stosunków z Polską oraz innymi państwami bloku wschodniego, Brandtowi przyznano Pokojową Nagrodę Nobla (1972). Niemieckie brukowce natychmiast rozpowszechniły dowcip, iż dostał 300 tys. marek za to, że „sprzedał ziemię" *(tzn. uznał zachodnią granicę Polski)*. Sam Brandt zachował klasę i nie podjął prymitywnej wymiany zdań: *„Zrobiłem to, co czynią ludzie, gdy brakuje im słów".*

Czasem lepiej, gdy słów zabraknie, niż gdy użyje się niewłaściwych. Prezydentowi RFN, Romanowi Herzogowi, który przybył do Warszawy z okazji 50. rocznicy Powstania Warszawskiego, zdarzyła się gruba niezręczność – w jednym z wywiadów oświadczył, że „jedzie do Warszwy uczcić powstanie w getcie"

Helmut Kohl na fotelu kanclerskim zasiadał najdłużej ze swoich poprzedników – 16 lat. W stosunkach polsko – niemieckich przełomowe znaczenie miało spotkanie w Krzyżowej (XI 1990). Kanclerz Niemiec i polski premier, Tadeusz Mazowiecki, nim „zrobili niedźwiadka" uznali, że nie ma zjednoczenia Niemiec bez usankcjonowania rezygnacji z terenów zza Odry i Nysy. *Za to Polacy Kohla chwalili, ale wielu Niemców długo go z tego powodu wygwizdywało.*

10 lat po Herzogu, z okazji 60. rocznicy Powstania Warszawskiego do polskiej stolicy przybył kanclerz Gerhard Schröder (2004). Uczestników manifestacji ujął słowami: „W tym miejscu polskiej dumy i niemieckiej hańby. . ." *Schröder dorzucił jeszcze jedną cegiełkę propolską mocno obcinając dotacje rządowe Związkowi Wypędzonych (BdV). „Podpadł" jednak Polakom, gdy ponad ich słowami rozpoczął pertraktacje z prezydentem Putinem w sprawie gazociągu.*

„Piętnujcie zło nie żywiąc nienawiści, nienawiść bowiem jest przyczyną zła".

Rozpocząłem tekst głęboką myślą wielkiego Polaka, kończę sentencją Niemca- B. Brechta. Państwo niemieckie od bardzo wielu lat promuje swoją politykę kulturalną i historyczną. Angażuje do tego uznane autorytety i inwestuje ogromne sumy. Nierównowaga między Polską a Niemcami jest bardzo widoczna. To powinno nas niepokoić, lecz przede wszystkim mobilizować. My też powinniśmy to zrobić. Tymczasem nasi uzdolnieni naukowcy, np. historycy, angażują swój talent w prostackie nieraz wojenki międzypartyjne będąc na usługach mało uczciwych, wręcz cynicznych polityków. Nie piętnują zła, atakują ludzi a nie sprawy – żywią zło i nienawiść. A niechby popełniali na użytek wewnętrzny, a może przede wszystkim zagranicy, choćby coś takiego jak Thomas Urban.

Wiele niejasności powstało w Polsce wokół „Widocznego znaku" kojarzonego u nas powszechnie ze Związkiem Wypędzonych (BdV). Tymczasem jest to odpowiedź rządu wielkiej koalicji (CDU –SPD) na pomysł BdV, aby pod jego auspicjami stworzyć w Berlinie Centrum przeciw Wypędzeniom, które miałoby dokumentować tylko deportcje Niemców. Ten pomysł odrzuciła niemiecka lewica oraz Warszawa. Zachodziła bowiem obawa, że niemieccy wypędzeni zostaną przedstawieni jako wyłączne ofiary wojny, zaś Polakom i Czechom przypisane zostaną działania zbrodnicze. Aby wyciszyć te spory, sprawę wziął w swoje ręce rząd Angeli Merkel (2005). Strona niemiecka zapewnia, że nie dopuści do relatywizowania historii, a wypędzenia pokaże jako konsekwencję wojny rozpętanej przez niemiecką III Rzeszę.

A co u nas w Złotoryi?

Gdyby każde miasto w Polsce robiło w tej sprawie tyle co Złotoryja, bylibyśmy z rozumieniem tego problemu znacznie dalej. Kiedy w tworzonym przez TMZZ ośrodku (ulica Szkolna 1) organizowałem Izbę Kresową oraz rozpoczęłam tworzenie Koła Kresowiaków (2001), jeden z dziennikarzy nazwał to „schizofrenią kulturową" (po prostu i on, i jego mocodawcy nie zadali sobie trudu, aby wniknąć w istotę naszej działalności!). Otóż, w tej Izbie Kresowej powiesiłem dużą mapę szkolną (1918 – 45). I na tej starej mapie, różnokolorowymi taśmami zaznaczyłem kierunki wypędzeń po II wojnie: Niemców i Polaków. Odwiedziny każdej grupy (lub pojedynczych osób) niemieckiej kończę przy tej mapie. I w tym momencie nastrój wśród odwiedzających zdradza i zdziwienie, i smutek, i zrozumienie. Dlatego książka Thomsona Urbana, choć spóźniona o dwie dekady, jest bardzo potrzebna i jeszcze spełni swoją rolę. Nasz Ośrodek też. Również idea wspólnego, polsko – niemieckiego, podręcznika historii, do którego 20 lat po Krzyżowej wrócili ministrowie spraw zagranicznych (Steinmeier i Sikorski) zasługuje nie tylko na uwagę, lecz bardzo szybką realizację.

Alfred Michler

Trudne wspomnienia

Według opowiadań rodziców urodziłem się 11 listopada 1938 r. we wsi Barysz pow. Buczacz woj. Tarnopol. Chrzest, na którym otrzymałem imię Józef nastąpił 14 listopada 1938 r. Zgodnie ze zwyczajem nadano mi takie imię, jakie w ten dzień było w kalendarzu. Niewiele pamiętam z najmłodszych lat mojego dzieciństwa, ale pewne fakty utkwiły głęboko w mej pamięci i dlatego mogę opowiedzieć o Kresach i o tym, jak żyli obok siebie Polacy, Ukraińcy, Rosjanie. Najsilniej pamiętam zsyłki na Syberię, dokąd wywozili Polaków Rosjanie, a w zasadzie NKWD.

Moja rodzina była liczna, miałem siedmioro rodzeństwa, a po wojnie, w 1946 roku urodził się jeszcze jeden brat. To już było na Ziemiach Zachodnich, jak tato wrócił z wojny. W mojej pamięci zapisało się szczególnie dużo grozy i okrucieństwa, które jako mały chłopiec przeżyłem. Najpierw pamiętam, jak do naszej wsi przyszło wojsko niemieckie. U nas w stodole trzymali konie. Byłem świadkiem, jak zabierali ludziom bydło i świnie oraz zboże na kontyngent. Jednak dzieciaki we wsi nie były się żołnierzy niemieckich, szczególnie, że oni rozdawali różnie smakołyki: cukierki, pomarańcze itp. Kiedyś pewien żołnierz obdarował mnie po ćwiczeniach łuskami naboi i od razu zyskał moją sympatię. Po wycofaniu się wojsk niemieckich przyszło do nas wojsko radzieckie. Rosjanie tym się różnili od Niemców, że zachowywali się niegodnie wobec kobiet.

Pod koniec wojny nasza wieś została doszczętnie spalona przez Ukraińców, Zdarzyło się to na początku lutego. Była noc. Oprawcy zamordowali 135 osób. Po tej tragedii ludzie wyjechali do Buczacza i nawet nie miał kto pogrzebać zamordowanych. W końcu pochowano ich we wspólnej mogile. Będąc w Buczaczu, wiele przeżyłem. Zamieszkaliśmy w domu pożydowskim, ale należącym do tej uboższej ludności, czyli nie w kamienicach, a na peryferiach. Obok naszego domu, niedaleko (ok. 70m), płynęła rzeka Strypa. Za rzeką był młyn oraz siedziba NKWD odległa od naszej chaty około 700m, widziana gołym okiem. Często siedziałem przy oknie i obserwowałem drogę do budynku NKWD. Całymi dniami szli tamtędy ludzie okryci jakimiś fartuchami, prześcieradłami. Widziałem prowadzonych tam Ukraińców. Nie mogę powiedzieć, że słyszałem jakieś jęki, krzyki dobiegające z siedziby NKWD. Utkwił mi w pamięci tylko ten widok- wędrujących ludzi.

Kiedy opuściłem Buczacz, to było na początku maja, boso szliśmy do Barysza, a w lesie śpiewało ptactwo oraz zieleniła się trawa. Gdyśmy przyszli do Barysza, taty nie było, nie wrócił jeszcze z wojny. Ale trzeba było jakoś żyć, coś jeść. Zrobiliśmy ogródek, mój najstarszy brat Antoni posiał kukurydzę i tak mieszkaliśmy do końca sierpnia. Pod koniec lata ludzie z naszej ulicy zaczęli masowo wyjeżdżać na Zachód, bogatsi już od czerwca wyjeżdżali, ale my czekaliśmy na tatę. W końcu stryj Ludwik Baronowski przyjechał po nas. Załadowaliśmy nasz skromny dobytek i wyjechaliśmy do Peszkowa na stację towarową, gdzie zostały podstawione wagony do transportu ludzi. 2 tygodnie czekaliśmy na nasz transport. Przy załadowywaniu na wagony silniejszy odpychał słabszego. Pamiętam, jak moją mamę tak odpychali, a myśmy stali z boku i płakali. Po załadowaniu na wagony trzeba było jeszcze wprowadzić zwierzęta, które zabraliśmy ze sobą. Mieliśmy tylko jedną krowę i kozę.

Pamiętam, jak kilkakrotnie staliśmy na bocznicy transportowej i czekaliśmy na dalszy transport na Zachód. Starsi ludzie mówili, że trzeba było się złożyć na łapówki (pieniądze, bimber) i prosić o dalszy transport. W czasie podróży były organizowane jakieś akcje dobroczynne. Dożywiano nas zupą grochową i pojono ciepłymi napojami. Jechaliśmy 2 tygodnie od stacji Peszkowce do stacji Dzierżoniów (Rychbach) na Dolnym Śląsku. Po przyjeździe na stację Rychbach znajdowaliśmy się już na Zachodzie. Na stacji czekali na nas Niemcy z furmankami, by rozwozić przybyłych po okolicznych wsiach, gdzie wciąż mieszkali poprzedni właściciele domów. Tak zakończyła się nasza ponad 1000 kilometrowa wędrówka. Osiedliliśmy się we wsi Świątniki w powiecie Rychbach. Mój tato wrócił z wojny w 1946 r. Wówczas jako mały chłopiec bawiłem się ze swoimi rówieśnikami.

Były to niemieckie dzieci: chłopak miał na imię Adolf a dziewczynka Richarda. Bardzo zaprzyjaźniliśmy się. Język nam nie przeszkadzał, my uczyliśmy się niemieckiego a oni polskiego. Tak to trwało do 1947 r. Pamiętam, że były pewnie naciski na mojego tatę i brata Antka (19 lat), ażeby założyli jakieś opaski na rękawy i upoważniano ich do wypędzania Niemców. Jednak mój tato odmówił, synowi również nie pozwolił angażować się w tę akcję. Sprzeciw ojca miał poważne skutki. Tato był szykanowany przez władze powiatowe. Oni uważali go za prowokatora. Kiedyś nawet przyjechał przedstawiciel powiatu i nazwał ojca bandytą. To szczególnie zapisało się w mojej pamięci, bo mój ojciec nikogo nie zamordował, a jeszcze pomagał w potrzebie. Cóż, świat jest okrutny i to się nie zmieniło, nawet w obecnej chwili.

wspomnienia Józefa Baronowskiego
spisał Tomasz Skoczylas.

Zapomniane klimaty

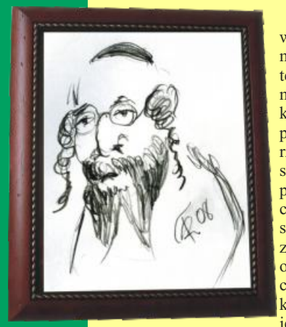

Gdy usłyszałem o Żydach w Złotoryi, pomyślałem, że może to być fascynujący temat. Przed oczami stanęły mi obrazy z filmów i książek opisujących przedwojenną, polską rzeczywistość. Żydowskie sklepy, przechadzające się po ulicy postacie w charakterystycznych strojach i melodyjny zaśpiew, znany mi z opowiadanych przez moją ciocię żydowskich kawałów. Pierwsze już jednak rozmowy z ludźmi pamiętającymi odległy, powojenny czas w Złotoryi, sprowadziły mnie na ziemię. Zadziwiające, jak mało z czasem pozostaje w ludzkiej pamięci. A przecież środowisko żydowskie zaraz po wojnie było w naszym mieście nader liczne. Sam fakt, że społeczność żydowska skupiła się w obrębie kilku ulic (dzisiejsze ul. Getta Warszawskiego oraz Konopnicką a także nieistniejącą już ul. Staromiejską (koło targowiska), świadczy, że musiało ich być sporo – przynajmniej przez pewien czas. Jednak Żydzi nie pozostawili po sobie w Złotoryi widocznych znaków. Ich istnienie zostało wymazane przez czas i ludzi.

Tych kilka fragmentów tamtej rzeczywistości ocalałych w pamięci tym bardziej zasługuje na utrwalenie - ulotne chwile zapisane na bardzo kapryśnym nośniku jakim jest pamięć ludzka. Moi rozmówcy pamiętają, że duża część mieszkańców Złotoryi pochodzenia żydowskiego opuściła miasto prawdopodobnie na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych i przeniosła się do pobliskiej Legnicy, gdzie był bardzo silny ośrodek żydowski. Gdy starałem się drążyć temat przyczyn tej emigracji, stanowczo stwierdzili, że na pewno bezpośrednią przyczyną nie była niechęć mieszkańców naszego miasta, Zdecydowały raczej względy praktyczne: lepiej się żyło wśród swoich – nie bez znaczenia była bliskość szkół, bożnicy czy cmentarza. Ciekawym i zarazem wstydliwym dla złotoryjan jest fakt, że cmentarz żydowski, który przetrwał lata faszyzmu, ostatecznie został unicestwiony w czasach powojennych. Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych dodatkowym impulsem ku przeprowadzce do Legnicy był fakt, że w tym okresie pojawiły się specjalne komisje likwidujące prywatny interes, w pobliskiej zaś Legnicy, wielu Żydów odgrywało znaczącą rolę we władzy państwowej i partyjnej, co stwarzało nadzieję, że może jakoś sklep, czy zakład rzemieślniczy da się utrzymać. Końca lat sześćdziesiątych środowisko żydowskie jako wyodrębniona część społeczeństwa – nie dotrwało w Złotoryi.
Ci, co pozostali w Złotoryi, wtopili się całkowicie w środowisko, spolonizowali się, choć może to ostatnie stwierdzenie jest nie na miejscu, bowiem zdecydowana ich większość zawsze była Polakami.

W Złotoryi nie było szkoły żydowskiej, więc dzieci tej narodowości uczyły się razem z polskimi. Jak podkreślają moi rozmówcy, w szkole nie było konfliktów na tle narodowościowym. Dzieci razem się uczyły, razem bawiły się. Nie interesowały się, jakiej narodowości jest ich kolega czy koleżanka. W lipcu 1946 roku na krótko zapanowała w Złotoryi psychoza zainspirowana informacjami dobiegającymi z Kielc. Mówiono o rytualnych mordach dokonywanych rzekomo na chrześcijańskich dzieciach przez Żydów. Krew dzieci miała być używana do produkcji macy. Matki nie wypuszczały dzieci z domów, zabraniały chodzenia w żydowskie rejony, czy wychodzenia po zmroku z domu. Szybko jednak wszystko powróciło do normy i znów dzieci bawiły się razem a matki wysyłały swoje pociechy do żydowskich sklepików po zakupy.

Starsi mieszkańcy pamiętają funkcjonariusza ORMO, który z karabinem przechadzał się wokół targu, gdzie pilnował porządku. Łaził po tym targowisku, krzyczał, pyskował, bardziej się jednak z niego śmiali niż bali. Wołano za nim: „Lufa pełna ognia". W gruncie rzeczy poczciwy to był człowiek. Miał żonę Rosjankę. Nikomu krzywdy nie zrobił. Natomiast zdarzało się, że jemu dokuczano. Kiedyś zawiązano mu worek na głowę i wywieziono za miasto. Ale raczej nie z powodu jego narodowości.

To na co nie zwracały uwagi dzieci, dorośli widzieli w szczegółach. Większość odnosiła się do Żydów obojętnie, część skrywała swoją niechęć. Ale były też przypadki, że Polacy wchodzili w spółki z Żydami: Żyd dawał pieniądze, a Polak prowadził na przykład restaurację. Czasami niechęć Polaków budziła względna zamożność Żydów, która nie zawsze była wynikiem ciężkiej pracy – kłuły w oczy pieniądze, które przychodziły zza granicy, bo Żydzi z Zachodu opiekowali się rodzinami swoich rodaków w Polsce.

Był środek lat sześćdziesiątych. Z okien swojego mieszkania zobaczył, jak jego sąsiada – Żyda zaczepiła grupa wyrostków. Otworzył okno i krzyknął w ich stronę:
- Co chcecie od tego człowieka?!
Pomogło. Uciekli. Następnego dnia szedł z pracy, gdy zaczepił go sąsiad:
- Ja mam do Ciebie interes.
- Jaki interes?
- No chodź to ja ci powiem.
Poszli do domu. Usiedli przy stole a sąsiad wyciągnął ćwiartkę wódki, korkiem zamkniętą:
- Ty się za mną wstawiłeś…
Wyciągnął kieliszki, ale sąsiad odmówił. Przez chwilę przemknęło mu przez myśl, że może to jakaś trucizna, ale napił się trochę. Wypił jedną trzecią ćwiartki. Sąsiad resztę zakorkował, schował do kieszeni, pożegnał się i poszedł. Przez jakiś czas sąsiad był kierownikiem jednego z hoteli robotniczych – później wyjechał.

Żydzi handlowali na różne sposoby. W całej okolicy znany był objazdowy kram ciągniony przez białego konia. Jego właściciel jeździł po wsiach, zbierał szmaty i butelki i wymieniał je na garnki. Miał żonę Rosjankę, była to bardzo dobra kobieta. Przy zbiegu dzisiejszych ulic Getta i Konopnickiej stał duży budynek a z tyłu było podwórko, na którym bawiły się dzieci. Co dzień gotowała wielki sagan zupy i wszystkie dzieci bawiące się na podwórku mogły liczyć na miskę ciepłej strawy. Nie zawsze polscy rodzice ze zrozumieniem podchodzili do tej akcji żywieniowej.

Żydzi prowadzili tak zwane sklepy kolonialne, w których można było praktycznie kupić wszystko. Dzieci chodziły tam kupować cukierki. Zawsze dostawały jednego więcej:
- Żebyś tu jeszcze raz przyszedł – mówił Żyd za ladą.
Gdy matki wysyłały je po zakupy, biegły do Żyda, bo wiedziały, że mogły liczyć na jakiś drobny słodki upominek. Trudno było wyjść z Żydowskiego sklepu nie kupiwszy niczego.
Nie zawsze polska konkurencja przyjaznym okiem patrzyła na wszystkie te zabiegi marketingowe. Czasami też dochodziło do konfliktów czy wojen cenowych. Co ciekawe, Żydzi potrafili razem ustalić między sobą politykę cenową – Polacy nie. Na początku lat pięćdziesiątych sklepy zaczęły przejmować spółdzielnie i przedsiębiorstwa państwowe.

Siedziba gminy żydowska mieściła się koło Baszty Kowalskiej, a jej przedstawiciele krążyli po mieście w poszukiwaniu nowych członków. Byli bowiem i tacy Żydzi, którzy nie afiszowali się swoimi korzeniami – mieli polskie imiona i nazwiska. Dochodziło więc na tym tle do różnych nieporozumień.
Z wyglądu mógł uchodzić za Żyda. Miał swój mały warsztat, co tym bardziej przemawiało za tym. Z tym wszystkim kłóciło się czysto brzmiące, tradycyjne polskie nazwisko. Więc przedstawiciele gminy żydowskiej często wstępowali do niego i badali grunt. Zaczęli namawiać do wstąpienia do gminy – ujawnienia się. Gdy jakoś nie dawał się przekonać, odwiedził go sam rabin:
- Proszę się nie wstydzić, proszę się nie bać – teraz to już wszystko się zmieniło. My panu pomożemy.
Co było robić, Żydem nie był, gości też urazić jakoś nie chciał. Wziął z domu obraz Matki Boskiej i powiesił na ścianie. Już więcej go nie namawiali..

Żydzi w Złotoryi nie manifestowali publicznie swojej przynależności narodowej. Wprawdzie na ulicy można było poznać w większości przypadków, kto jest jakiego pochodzenia, ale najczęściej były to szczegóły nie rzucające się w oczy. Swoje święta obchodzili skromnie, na nabożeństwa jeździli do Legnicy, tam też chowali swoich bliskich, więc duża część życia toczyła się nie na oczach złotoryjan.

W opowieściach przetaczają się nazwiska: i te wskazujące na obce pochodzenie i te typowo-polskie. Korowód osób trudniących się różnymi zajęciami, zajmujących przeróżne stanowiska: lekarze, kupcy, kierownicy, dyrektorzy, przedstawiciele władzy i zwykli ludzie.
Ten był dobry, ten życzliwy a ten to kawał… Normalnie jak w każdym społeczeństwie, jak u przedstawicieli każdego narodu: są ludzie prawi i niegodziwcy. Jak wyglądałaby dzisiaj Złotoryja, gdyby wiatr historii nie wywiał z niej społeczności żydowskiej. Czy można byłoby spotkać na ulicy ludzi w jarmułkach, być może z pejsami. Jak urzeczony patrzyłem kiedyś na targach we Frankfurcie, jak dwóch Żydów – jak z obrazka – w czarnych kapeluszach, z pejsami chyba zaplecionymi w warkoczyki, w długich czarnych szatach i z teczką ze skóry w jednej ręce a komórką w drugiej – paradowało między stoiskami.
Jak wyglądałby nasz kraj? Gdy słucham relacji ludzi wspominających tamten okres, gdy słucham relacji Żydów, przepędzonych z naszej wspólnej ojczyzny, nie mogę pozbyć się refleksji, że utraciliśmy bezpowrotnie cząstkę kultury, historii – samych siebie – tym razem na własne życzenie. Gdy słucham wszystkich tych pseudopolaków, wyzywających od Żydów wszystkich, którzy nie myślą według ich życzeń, a potem nagle wiadomości, że ten czy ów ze znanych twórców kultury, naukowców, wybitnych lekarzy mówi o swoim żydowskim pochodzeniu, ale mówi to jako Polak, kochający swoją ojczyznę ponad wszystko – po prostu nie mogę tego zrozumieć…

Robert Pawłowski

Żydzi w Złotoryi

Niniejszy tekst stanowi zaledwie zarys problematyki. Bez kolejnych badań archiwalnych a także relacji złotoryjan nie sposób w tej chwili sformułować wnioski choćby na temat roli, jaką odegrała ta społeczność w dziejach miasta, jej losów podczas rządów nazistowskich, relacji z Niemcami, Polakami czy Rosjanami przed i po 1945 r. Prosimy Czytelników o uwagi i uzupełnienia, również o fotografie, w tym cmentarza żydowskiego w Złotoryi, któremu poświęcimy uwagę w następnym *Echu*.

Żydzi zaznaczali swoją obecność na Śląsku od wczesnego średniowiecza. Największa ich gmina istniała od X-XII w. we Wrocławiu. W XIV w. tamże, oraz w Świdnicy, doszło do pogromów ludności żydowskiej, krytykowanej m.in. za trudnienie się lichwą i rzekomą profanację katolickich świętości. Niczego bliższego nie da się powiedzieć o gminie żydowskiej w średniowiecznej Złotoryi. Była zapewne niewielka, ale jej przedstawiciele mogli należeć do bogatszych mieszkańców. W czasach legnickiego księcia Ruprechta(1374-1409) istniała tutaj ul. Żydowska, której nie można jednak zlokalizować. W połowie XIV wieku książę legnicki Wacław I zastawił miasto majętnemu Żydowi ze Świdnicy. Gdy rywalizujący z Wacławem, jego brat książę Ludwik nakazał odwołać transakcję, natrafił na opór a ów Żyd zwrócił zastaw dopiero, gdy został na rozkaz Ludwika pochwycony i uwięziony w Lubinie. Wedle zarządzeń celnych tutejszego magistratu z 1435 r. Żyd przejeżdżający konno płacił 6 halerzy, przejeżdżający wozem 4 a idący pieszo 2 halerze. Losy tutejszych Żydów toczyły się najpewniej podobnie jak w innych miastach. W połowie XV w. doszło do największych chyba w tej epoce pogromów ludności żydowskiej na Śląsku. W rezultacie zlikwidowane zostały ich skupiska, tak, że w następnym stuleciu istniały na całym Śląsku tylko dwie gminy – w Głogowie i Białej pod Prudnikiem.

Valentin Trozendorf, kierujący tutejszym gimnazjum w XVI wieku, choć nie był Żydem, posługiwał się biegle językiem hebrajskim, którego nauczył się z własnej woli. Zamiłowanie do hebrajskiego starał się wpajać swoim uczniom. W kościele Mariackim na symbolicznym nagrobku Trozendorfa, a także na ambonie, dostrzeżemy inskrypcje w tym języku.

W 1678 r. od konno przejeżdżającego Żyda pobierano tutaj 6 a od idącego pieszo 3 halerze. W I połowie XVIII w. znacznie zwiększyła się liczebność ludności żydowskiej na Śląsku, z pewnością nie tylko we Wrocławiu, gdzie rada miejska zezwoliła na pobyty kupców tej narodowości. Kronikarz złotoryjski Ludwig Sturm zanotował, że w 1708 roku władze miejskie zezwoliły Izraelowi Fiedlerowi, zamieszkującemu lokal przed Bramą Dolną(Legnicką) na wyszynk wódki za roczną opłatą 18 talarów. Poskarżyli się na to karczmarz Christian Rothe oraz aptekarz Christian Diehl(aptekarze mogli trudnić się produkcją wódki). Rada miejska poleciła więc Fiedlerowi pod ciężką karą powstrzymać się od wyszynku piwa. W 1744 r. król pruski Fryderyk II zlikwidował gminy żydowskie z wyjątkiem Wrocławia i sześciu innych śląskich miast, wśród których nie było jednak Złotoryi.

Wedle statystyk, w latach 1785-1788 w powiecie złotoryjskim Żydzi nie mieszkali. W XIX wieku sytuacja wyraźnie się zmieniła: w 1809 r. 11 mieszkańców Złotoryi było wyznania mojżeszowego(0,2%), w 1816: 30, 1826: 44, 1828: 34, 1840: 53(0,7% z 7194 osób), 1871,1885: 24, 1895: 19. W powiecie w 1828 r. było 68 Żydów, co stanowiło 0,1% ogółu ludności. Wśród tutejszych lekarzy w 1866 r. była osoba o nazwisku Danziger, którą możemy najprawdopodobniej zaliczyć do opisywanej narodowości. Nieco liczebniejszą gminę żydowską posiadał Chojnów(1861: 90 osób, 1867: 105), gdzie w 1893 r. zbudowano synagogę(w Złotoryi takowa nigdy nie powstała). Tam właśnie, lub do Legnicy, udawali się członkowie naszej gminy żydowskiej. Kilka osób tej narodowości zamieszkiwało w XIX w. Świerzawę.

Znane nam w tej chwili międzywojenne statystyki odnotowują w Złotoryi niewielu przedstawicieli narodowości żydowskiej: 1930: 21 osób, 1938: 7 osób; w powiecie w połowie lat 30-tych: 84 osoby. Według spisu ludności z maja 1939 r. w powiecie złotoryjskim zamieszkiwało 17 Żydów(w tym 9 mężczyzn), spośród których 16 wyznawało judaizm, oraz 30 z mieszanych rodzin(w tym 13 mężczyzn).

Od 1945 r. spośród ziem polskich szczególnie dużą popularnością wśród osiedlających się Żydów cieszył się Dolny Śląsk Były tutaj duże możliwości zdobycia zatrudnienia i mieszkania, nie występował problem z utraconym podczas wojny mieniem. Istniały nawet plany utworzenia tutaj największego w kraju skupiska ludności żydowskiej, która przybywała przede wszystkim z ZSRR, Polski centralnej i obozów. Żydów niemieckich już nie było.

Pierwsza większa grupa osób narodowości żydowskiej(ok. 500 osób) przybyła z ZSRR do Złotoryi już w lipcu 1945 r. lecz po krótkim czasie podążyła w kierunku Legnicy bądź Wałbrzycha. Wkrótce napłynęli następni. 23 maja 1946 r. Starostwo zarejestrowało Komitet Żydów Polskich z siedzibą przy Pl. Zwycięzców 5(dziś Pl. Niepodległości). Przewodniczącym KŻP był wówczas Laufer, Sekretarzem I. Cukierfajn, Wydziałem Produktywnym kierował Lewenkopf, Repatriacyjnym J. Melman a Opieki Społecznej Gluzman. Według statystyk Komitetu w maju 1946 przebywało w mieście 173 Żydów, w czerwcu 1946 – 843, w lipcu 1946 – 1073, w grudniu 1946 – 1550, w lutym 1947 – 1200, w lutym 1948 – 502, w połowie 1949 r. – 323. W sprawozdaniu sytuacyjnym z maja 1947 r. Starosta Złotoryjski pisał: *Mniejszości narodowe: Oprócz Niemców mamy tylko Żydów, która jest skupiona tylko po miastach i wykazuje duża sprężystość w organizowaniu się"*.

Do wyjazdu Żydów od początku 1947 r. przyczynił się pogrom kielecki(1946), agitacja na rzecz emigracji do Palestyny(1947) i powstanie państwa Izrael(1948). Przytoczmy fragmenty pisma Starosty złotoryjskiego z października 1946 r., skierowanego do miast i gmin powiatu: *Wypadki kieleckie wywołały w opinii świata odruch oburzenia, który szkodzi interesom naszego państwa. Dla zadokumentowania postawy i dla podkreślenia moralnych sprawców pogromu kieleckiego, należy zmobilizować wszystkie elementy szczerze demokratyczne i uchwalić rezolucje potępiające wypadki kieleckie. Ob. Ob. Burmistrzów i Wójtów czynię osobiście odpowiedzialnych za niedopuszczenie do jakichkolwiek prób wywołania zamieszek oraz polecam z całym naciskiem przeciwdziałać wszelkiej propagandzie, szerzącej się pod pokrywką antysemityzmu.* Według pisma Starosty Złotoryjskiego do Urzędu Wojewódzkiego we Wrocławiu, w sierpniu 1946 r. Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Złotoryi aresztował jednego mężczyznę, zatrudnionego zresztą w Starostwie na stanowisku p.o. kierownika Referatu Społeczno-Politycznego, za antysemickie wystąpienia. W 1948 r., według Starostwa, *z dnia 3 na 4 lipca osobnik o nieznanym nazwisku wszczął na rynku w Złotoryi z kilkoma obywatelami narodowości żydowskiej awanturę – grożąc im rewolwerem o czym powiadomiono P.U.B.P., który wysłał kilku swych funkcjonariuszy celem schwytania bandyty. Bandyta widząc się otoczonym przez funkcjonariuszy U.B. zaczął strzelać do nich ratując się ucieczką. W wyniku tego starcia zostało zabitych 2 funkcjonariuszy U.B. sam zaś bandyta będąc silnie rannym w nogę i widząc że nie ucieknie, popełnił samobójstwo strzelając sobie w usta.*

O dość słabej orientacji ówczesnych władz lokalnych w sprawach wyznaniowych świadczy sprawa z grudnia 1947 r., gdy Starostwo zażądało(zresztą na polecenie Wojewody, który jednak nie pisał „żydowskie") od władz miejskich w Złotoryi i Chojnowie poufnego sprawdzenia, czy na ich terenie istnieje *żydowskie stowarzyszenie religijne działające tajnie i występujące pod nazwą Świadkowie Jehowy*. Odpowiedzi były negatywne. Zarząd Miejski już w lutym 1947 r. pisał do Starostwa: *Z wyjątkiem religii katolickiej ewangelickiej i żydowskiej inne sekty na terenie m. Złotoryi nie istnieją.*

Przy ul. Basztowej 15-16 działała stołówka, szkoła i przedszkole oraz siedziby różnych organizacji, czynny był dom modlitwy. Oprócz ul. Basztowej stosunkowo najwięcej rodzin żydowskich ulokowało się przy ul. Staromiejskiej, Chopina, Bohaterów Getta, Nowotki, Konopnickiej i w Rynku. Zajmowali się handlem, prowadzili niewielkie sklepy i inne punkty, zatrudniali się w uruchamianych większych zakładach pracy i szkołach. W latach 1946-1947 własnością Żydów była także Spółdzielnia Samochodowa „Naprzód" z siedzibą przy ul. Krzywoustego, zajmująca się transportem. Raczej nie angażowali się politycznie, nie wiemy w tej chwili, ilu podjęło pracę w Urzędzie Bezpieczeństwa. Ludność żydowska zastała tutaj

ciąg dalszy na stronach 14 i 15.

Sprostowanie

23 IV 2008r., Złotoryja
Redakcja „Echo Złotoryi"

W lutowym numerze „Echa Złotoryi(2/27/2008) pan Roman Gorzkowski zamieścił artykuł pt. „Muzealne tradycje". Autor wypowiedział w nim szereg własnych mniemań podanych czytelnikom w formie faktów. Zgodnie z przyjętymi zasadami prawa prasowego prosimy o zamieszczenie sprostowań, które podajemy poniżej:

1) Dotyczy włączenia Muzeum Społecznego Ziemi Złotoryjskiej (tzw. Katowni, późniejszego Muzeum Złota) w struktury ZOK-u: „W 1993r. zaprzestał działalności tutejszy oddział PTTK. W tym samym roku muzeum zostało integralna częścią ZOK, stając się jego działem muzealnym. Ten charakter organizacyjno-prawny utrzymuje się do dzisiaj, dlatego nie znajdziemy muzeum w spisie polskich muzeów państwowych lub resortowych..."
Włączenie miało miejsce przed 1992r., a wówczas żadna z osób sprawujących opiekę nad muzeum , nie była zatrudniona w tej instytucji. Myślimy, że Pan Gorzkowski pomylił fakt wcześniejszego włączenia Muzeum z oficjalnym, późniejszym pismem włodarzy miasta przekazującym „Katownię" pod opiekę ZOK-u. Muzeum jest muzeum sensu-stricto, bez podmiotowości prawnej w strukturze innej instytucji tak, jak np. muzea uczelniane, zakładowe etc.(patrz ustawa o muzeach). Aktualnie funkcjonujące spisy muzeów nie są aktualizowane od lat i dotyczą wyłącznie, tzw. muzeów rejestrowanych o podmiotowości prawnej.

2) Dotyczy : „Od początku istniał problem z inwentaryzacją kolekcji, czego nie uczyniono ani w Szczyrzycu ani zaraz po jej przywiezieniu do Złotoryi. Wydaje się, że brak szybkiej inwentaryzacji stał się przyczyną późniejszych podejrzeń o 'uszczuplenie' bądź 'zamienienie' eksponatów..."
Leopold Schmetterling był członkiem Polskiego Towarzystwa Miłośników Nauk o Ziemi (dzisiejszego PTPNoZ-u). W biuletynie informacyjnym towarzystwa z 1964r. czytamy:
„Wielu członków naszego Towarzystwa gromadzi okazy geologiczne. Ponieważ ambicją i marzeniem każdego zbieracza jest posiadanie jak najpełniejszej i najpiękniejszej kolekcji, konieczna jest wymiana okazów. W bieżącym miesięczniku Biuletynu podajemy pierwsze nazwiska osób, które zgłosiły uczestnictwo w wymianie okazów...

1) Jan Kaluch z Boguszowa-Gorce (do dziś żyjący i wielokrotnie odwiedzający nasze Muzeum – dopisek autorów listu),
2) Leopold Schmetterling, Libiąż nr 48, powiat Chrzanów - posiada zbiory minerałów z całej Polski.

Informację o posiadaniu „zbioru minerałów z całej Polski" potwierdziła książka inwentarzowa sporządzona w końcu lat '80-tych przez Arkadiusza Kramka, absolwenta wrocławskiej geologii. Zaproszony w listopadzie 1993r. w celu sprawdzenia i uporządkowania zbiorów geologicznych pan Antoni Stryjewski (geolog, pracownik Muzeum Mineralogicznego we Wrocławiu), opierając się na zapiskach -nomen omen- swojego kolegi ze studiów, tak oto pisze w „Gazecie Złotoryjskiej" i „Legnickim Informatorze Kulturalnym" z listopada 1994r. po sporządzanym oglądzie: „niestety z kolekcji, którą odziedziczyły władze miejskie, dziś pozostało parę zniszczonych kamieni. Próby ich skatalogowania podjął się w latach '80-tych pan Arkadiusz Kramek, przedwcześnie odeszły absolwent wrocławskiej geologii. Ale i wówczas nie wyeksponowano zbiorów."
Zbiory Schmetterlinga przechowywane wcześniej w klasztornych murach Szczrzyca i Jędrzejowa, nie były własnością wymienionych placówek, nie miały więc statutu muzealiów, a więc nie musiały być zinwentaryzowane (patrz ustawa o muzealiach).

3) Dotyczy: „nieco wcześniej dyrektor Zbigniew Gruszczyński dzielił się pomysłem urządzenia w ZOK sali poświeconej zbiorom Leopolda Sczmetterlinga, nie pasującej już do nowej koncepcji muzeum."
Zbiory będące własnością muzeum mają statut muzealiów, nie ma więc tu miejsca na określenia typu „pasują" lub „nie pasują", co najwyżej „mogą" ale „nie muszą" być wystawiane. O sposobie i czasie ich eksponowania, decyduje opiekun - w tym przypadku dyrektor placówki. Zbiory schmetterlingowe znajdują się od wielu lat w archiwum . Po remoncie, Muzeum zyskało pomieszczenie do przechowywania zbiorów.
Zbiorów jest sporo, porządkujemy je powoli, a zbiory Schmetterlinga - we właściwym czasie- wrócą do sal
muzealnych, odpowiednio zabezpieczone.

4) Dotyczy: „Teraz zdemontowano napis 'Katownia', w 1994r.wypożyczono, najpierw na czas jakiś (potem praktycznie na stałe?) narzędzia katowskie Muzeum..."

Repliki narzędzi dekorujące wystawę o wymiarze sprawiedliwości w wiekach średnich, w Muzeum Społecznym Ziemi Złotoryj skiej, nie będąc nigdy muzealiami, do dziś są własnością ZOKiR-u i leżą w archiwum.

5) Dotyczy „....zabytki archeologiczne otrzymało Muzeum Okręgowe (dziś znów Miedzi) w Legnicy".
Wiele lat temu Muzeum Miedzi organizując wystawę dotyczącą narzędzi najdawniejszych, zwróciło się do nas o wypożyczenie trzech siekierek neolitycznych ze zbiorów Schmetterlinga. Siekierki wróciły z powrotem i od 10 lat leżą w naszym archiwum. Na podstawie artykułu o muzealiach mamy pełne prawo do wypożyczania zbiorów i nie mylimy go z przekazaniem zbiorów, które także może mieć miejsce w ściśle określonych ustawą warunkach.

6) Dotyczy „....lufy armatnie z lat 1870-1871 Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej".
Owe „lufy armatnie", tzw. wiwatówki, zastaliśmy w 1993r. stojące w wilgoci na zapleczu Muzeum. By nie skorodowały przenieśliśmy je do przedsionka muzealnego by tam „witały" gości i nie rdzewiały. Zainteresował się nimi dyrektor Muzeum Wojska w Drzonowie k/ Zielonej Góry pytając o możliwość umieszczenia ich we własnym muzeum. Ponieważ wiedzieliśmy, że są one związane z pewnymi wydarzeniami w dziejach miasta, poprosiliśmy Pana Kwaśniewskiego (dyrektora Muzeum w Drzonowie) o wcześniejszy kontakt z panem Gorzkowskim, wówczas zaangażowanym w organizację Ośrodka Dokumentującego Dzieje Złotoryi. W wyniku rozmowy obu panów, Pan Gorzkowski zwrócił się z prośbą o ich przekazanie do TMZZ, a następnie Ośrodka. Tak tez uczyniliśmy, zważając na charakter i kierunek merytoryczny Ośrodka.

Zbigniew Gruszczyński - dyrektor ZOKiR
Joanna Kielar - kustosz i kierownik Muzeum Złota

W następnym numerze Echa Złotoryi ukaże się odpowiedź autora artykułu - Romana Gorzkowskiego

Żydzi w Złotoryi

ciąg dalszy ze strony 13

niewielki cmentarz, nieużytkowany od co najmniej kilku lat. W 1947 r. pochowany został tutaj młody mężczyzna(szczegóły w następnym artykule).

W archiwalnych zbiorach zachował się protokół z kontroli w Żydowskiej Kongregacji Wyznaniowej w Złotoryi przeprowadzonej w marcu 1948 r. przez rabina Kpt. Mgr. Naftaliego Stieglitza w obecności Prezesa J. Mantelmachera i członków Zarządu Kongregacji I. Libermana oraz N. Chazanowicza. W dokumencie czytamy m.in.: *Przy Kongregacji czynna jest Talmud Tora, uczniowie jej robią znaczne postępy w nauce. Zauważono, że należy pociągać do Talmud Tory młodsze dzieci oraz dziewczynki, celem udzielania im nauki religii. Spolnie z Zarządem uchwalono na przyszłość z produktów otrzymywanych z Kom. Org. znaczną część rozdawać bezpośrednio dzieciom uczącym się w Talmud Torze. Kongregacja prowadzi kuchnię rytualną, która wydaje obiady w cenie 30 zł....Średnio wydaje się 20 obiadów dziennie, z tego 7 obiadów bezplatnie. Obiady są obfite i smaczne.* W latach 1946-1948 szkoła żydowska zatrudniała jednego nauczyciela a liczba uczniów wynosiła od 20 do 30 osób..

W maju 1948 r. Zarząd ŻKW w mieście składał się z pięciu członków: Przewodniczący Icek Mantelmacher, zam. M. Konopnickiej 19, Sekretarz Nasan Chazanowicz, ul. Ciemna 6(dziś Szkolna), członkowie: Josef Rzeźnikowicz, Żeromskiego 2, Lejb Tabak, Bohaterów Getta Warszawskiego 5, Gersz Cherszon, M. Konopnickiej 7. Wszyscy byli bezpartyjni. Zarząd Miejski w Złotoryi jednocześnie donosił do Starostwa że *działalności Kongregacji o charakterze politycznym nie zdołano ujawnić*. W czerwcu 1948 r. trzyosobowa Komisja Lustracyjna, powołana przez Starostwo Powiatowe przeprowadziła kontrolę całokształtu gospodarki finansowej prowadzonej przez ŻKW. Komisja stwierdziła min: *Żydowska Kongregacja Wyznaniowa przy ul. M. Konopnickiej 19 czynna jest od 25 grudnia 1946 r. na podstawie zezwolenia Starostwa Powiatowego Złotoryjskiego z dnia 19 września 1946 r. Zadaniem Kongregacji jest: utrzymywanie 1)Chajder*[właśc. Cheder – elementarna szkoła żydowska o charakterze religijnym dla chłopców – przyp. RG]*, 2) Kuchni rytualnej, 3) Bożnicy, 4) cmentarza żydowskiego. Na utrzymanie powyższych działów Kongregacja korzysta z funduszów udzielanych przez Komitet Organizacyjny Żydowskiej Kongregacji Wyznaniowej w Warszawie....*Oprócz dotacji *Kongregacja osiąga przychód z ofiar od ludności przychodzącej co soboty na modlitwę. Ofiary te wynoszą miesięcznie około 3 000 zł oraz osiąga również przychód z rzeźni rytualnej drobiu w kwocie przeciętnie 1 700 zł miesięcznie. Rzeźnikiem rytualnym jest Weis Chaim z Legnicy... który każdego czwartku przyjeżdża celem uboju do Złotoryi.*

Miejska Rada Narodowa w niewielkim stopniu zajmowała się w latach 1946-1950 sprawami mniejszości żydowskiej. Jej Prezydium np. w lipcu 1947 r. odczytało pismo KŻP w/s udostępnienia młodzieży żydowskiej korzystania z pływalni, w październiku 1947 r. rozpatrzyło negatywnie z braku podstaw prawnych prośbę tegoż Komitetu o zastosowanie ulg w opłatach za mieszkania jego pracowników jak również pracownikom podlegających Komitetowi instytucji, w grudniu 1947 r., gdy KŻP prosił o przyznanie ulg 50% w opłatach czynszów mieszkaniowych dla pracowników Komitetu, Prezydium MRN postanowiło przyznać takie ulgi wyłącznie nauczycielom szkoły żydowskiej. W styczniu 1948 r. Prezydium zobowiązało MRN do wystawienia pozytywnej opinii Lauferowi Chasklowi w/s nadania Brązowego Krzyża Zasługi przez WRN, załatwiło pozytywnie podanie złotoryjskiego Komitetu Związku Robotniczego „Bund" w sprawie 50% zniżki czynszu za zajmowany lokal na stołówkę, ponieważ nie jest ona *przedsiębiorstwem zarobkowym a jedynie przyczynia się do ułatwienia w nabywaniu tanich obiadów dla biednej ludności*. W czerwcu 1948 r. Prezydium MRN rozpatrywało podanie Żydowskiego Towarzystwa Kultury i Sztuki w Złotoryi, które zwróciło się o anulowanie zaległego czynszu za zajmowany lokal (zaległość obniżono o połowę)oraz 50% zniżkę za czynsz bieżący(odmownie). W październiku tegoż roku nie zgodzono się umorzyć zaległego czynszu za wrzesień Ob. Herszenkornowi (ul. Konopnickiej 7) z powodu braku podstaw prawnych oraz w podobny sposób ustosunkowano się do bliżej nieznanych podań Pikusa Lezerowicza, Abrahama Fabera i Lejby Tabaka, ponieważ w/w nie posiadali gospodarstw rolnych.

W sierpniu 1947 r. MRN na wniosek KŻP postanowiła przemianować ulicę Wilczą na Bohaterów Getta Warszawskiego *w uznaniu zasług w walkach z najeźdźcą hitlerowskim*, a w marcu 1948 r., również na wniosek KŻP, *w związku z przypadającą rocznicą Getta Warszawskiego ... oraz uznając że nazwa ul. Nowy Świat jest niewłaściwa z uwagi na jej położenie* zmieniła jej nazwę na ul. Józefa Lewartowskiego(dziś Staromiejska), *przywódcy Getta w okresie walk zbrojnych.*

Od sierpnia 1947 r. do listopada 1948 r. (gdy przyjęto jego *uzasadnioną* rezygnację) członkiem Miejskiej Rady Narodowej był Rubin Rojzmann(Reuzmann), skierowany przez Komitet Żydów Polskich. W lutym 1948 r., wystąpił w imieniu KŻP o przyznanie dla Żydowskiego Towarzystwa Kultury i Sztuki z funduszów miejskich zapomogi na jego rozwój – MRN przeznaczyła na ten cel kwotę 5 000 zł. W lutym 1949 r. do MRN delegowano na wniosek PZPR Jakuba Cukiermanna(w listopadzie 1949 r. Prezydium MRN postanowiło odwołać Cukiermannna ze składu MRN z powodu braku aktywności, lecz jeszcze w czerwcu 1950 r. uczestniczył w jej posiedzeniach).

Stosunkowo dużą popularność zdobył sobie Icek Fajersztajn, który wkrótce po wojnie zajmował się utrzymaniem ogrodów miejskich oraz objął funkcję strażnika miejskiego(zm. w 1979 r.). W październiku 1948 r. Prezydium MRN przyznało mu kwotę 10 tys. zł na kupno umundurowania. Na posiedzeniu Prezydium MRN w dniu 19 lutego 1949 r. *w wolnych wnioskach została poruszona sprawa używania strażnika miejskiego Ob. Icka Fajersztajna przez pow. Komendę M.O. do załatwiania różnych spraw wchodzących w kompetencję milicji Obywatelskiej, wobec czego postanowiono zwrócić uwagę Zarządowi Miejskiemu, że wyżej wymieniony jest płatnym funkcjonariuszem Zarządu Miejskiego i dysponować nim może tylko Zarząd Miejski. W tej sprawie wystosować odpowiednie pismo do Pow. Komendanta M.O.*

Można szacować, iż w Złotoryi pozostało po 1949 r. kilkudziesięciu przedstawicieli ludności żydowskiej, którzy nie kontynuowali już później ani wspólnej działalności kulturalnej ani religijnej. Jeszcze w latach 80. XX w. wyjeżdżali do innych miejscowości w kraju lub za granicę.

Roman Gorzkowski

Pana Tomasza Kośmidra z Rawicza przepraszamy za zmianę jego miejsca zamieszkania w notce przy jego artykule o proboszczu Robercie Urbanie w Echu nr 4(29).

Kącik starej widokówki

O tempora, o mores!

O czasy, o obyczaje! Kto dzisiaj wysyła kartki pocztowe do nauczycieli, a już z najlepszymi życzeniami z okazji urodzin? Kto w ogóle wysyła coś innego niż sms-y lub e- maile?

Jeszcze sto lat temu było inaczej. Właśnie w lipcu 1908 roku jedna z uczennic złotoryjskiego gimnazjum wysłała swojej nauczycielce urodzinowe życzenia, mając nadzieję, że zostaną ją w dobrym zdrowiu.

Na widokówce oczywiście fragment ul. S. Staszica, zwanej wówczas Promenadą (lub Południową Promenadą). Po lewej: kościół św. Jadwigi, lecz z inną niż obecnie wieżyczką, w głębi- najprawdopodobniej bryła kościoła św. Mikołaja. Pozostałe zmiany dostrzeżemy bez trudności. Kartę wydała oficyna Reinickego i Rubina z Magdeburga w 1906 r.

Roman Gorzkowski

Historia jednej fotografii

Uliczkę znam...

Tak kiedyś wyglądała jedna z uliczek złotoryjskiej Starówki, takimi pojazdami odwiedzali nasze miasto okoliczni mieszkańcy… Prosimy o podanie nazwy prezentowanej ulicy, a może nawet jej nazw poprzednich. Kiedy mogła zostać wykonana fotografia?

Roman Gorzkowski

GALERIA SPONSORÓW

Lena
Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl, lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT
"Bazalt" SA w Wilkowie

VITBIS

KOSD
WILKÓW
Kopalnie Odkrywkowe
Surowców Drogowych
Sp. z o.o. w Wilkowie

KOPALNIE SUROWCÓW SKALNYCH S.A. ZŁOTORYJA
KSS S.A.

INŻYNIERIA
INKOBUD
ZŁOTORYJA

Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO
ZŁOTORYJA

grysy bazaltowe

STONESPOL
- płukane
- kolorowe
- posypki
- mączki

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023